

23, rue Tailbout, PARIS 9^e

CENA 0,80 F.
PRIX 7 F. B.

28 września 1969
septembre

Rok wydania XII Nr 39 (623)

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE



FP
2373

Młodzi „Krakowiaci” z Bostonu występujący na Światowym Festiwalu Polonijnych Zespołów Artystycznych w Rzeszowie — mają w swoim repertuarze nie tylko polskie tańce ludowe. Kultywują stare pionierskie tradycje z „Dzkiego Zachodu” — swej amerykańskiej ojezyny
Czytaj na stronie 8

KRAJ W OBIEKTYWIE

We wsi Zakrzewo (koło Złotowa) odbyły się uroczystości pogrzebowe księdza Józefa Styp-Rekowskiego, działacza polonijnego, prezesa Związku Polaków w NRF, który zmarł 23 sierpnia w Trewirze (NRF). Ks. Józef Styp-Rekowski urodził się we wsi Płotowo w powiecie bytowski. W latach międzywojennych był kierownikiem Polskiego Towarzystwa Szkolnego na terenie Niemiec. Na mocy testamentu zmarłego został uroczystie pochowany w Polsce we wsi Zakrzewo



W NASTĘPNYM NUMERZE

przeczytacie między innymi:

- Srebrna Kolia Dijon powędrowała do Lublina
- Sztafeta walki — reportaż z Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie
- Dalszy ciąg powieści Wł. Umińskiego „Znojny chleb”
- Jak zwykle: felieton Grzybka, Rady od serca, Sport, Moda, Film i wiele innych ciekawych informacji i fotografii



W Jabłonie k/Warszawy, w dniach od 4 do 6 września, w związku z 30 rocznicą wybuchu II wojny światowej, odbyło się Międzynarodowe Spotkanie Dziennikarzy Wschodu i Zachodu. W spotkaniu wzięło udział 50 dziennikarzy zagranicznych z 20 krajów oraz publicyści prasy polskiej. Przemówienie otwierające obrady wygłosił minister spraw zagranicznych PRL — Stefan Jędrzychowski

4 września br. pod pomnikiem Nike w Warszawie odbyła się uroczysta promocja 62 oficerów pożarnictwa. Promocji dokonał płk Zygmunt Jarosz

5 września br. na Starym Rynku w Bydgoszczy, odbyła się manifestacja antywojenna połączona z odsłonięciem pomnika ku czci ofiar hitleryzmu



Na Uniwersytecie Warszawskim obradował Międzynarodowy Kongres Pedagogów, na który przybyło ok. 300 najwybitniejszych reprezentantów nauk pedagogicznych z niemal wszystkich krajów europejskich, także z Francji



W Zakładach Mechanicznych w Ursusie pod Warszawą zszedł z taśmy montażowej 250-tysięczny ciągnik. Jubileuszowy ciągnik otrzymał rolnik Józef Kurzawiński ze wsi Stare Pole (pow. Malbork, woj. gdańskie) w zamian za stary ciągnik „Ursus C-45”, wyprodukowany w 1947 r. Stary ciągnik, w dobrym stanie, znajduje się w Muzeum Fabrycznym, „na wieczną rzecz pamiątkę”

Koniec wakacji, lecz nie koniec złotej polskiej jesieni. Do najpiękniejszych należą jeziora i lasy ziemi ełckiej. Ełk znamy z Sienkiewicza — to tu dotarł Kmicic po porwaniu księcia Bogusława Radziwiłła. Dziś rejon wczasowy



Sprawy nam bliskie

ROCZNICA WRZEŚNIA
W SZKOCKIEJ TV

W związku z 30 rocznicą najazdu hitlerowskiego na Polskę telewizja szkocka nadała program okolicznościowy, na który złożyły się fragmenty polskich filmów o II wojnie światowej oraz wywiad z attachés wojskowym, lotniczym i morskim Ambasady PRL w Londynie, płk pilotem W. Łokuciewskim, uczestnikiem bitwy powietrznej o Anglię.

W programie tym informowano również o polskich obchodach tej rocznicy na terenie Szkocji. Obejmowały one m. in. akademię, podczas której **Krzyżami Grunwaldu** zostali udekorowani czterech kombatanci: prezes Stow. Odra-Nysa w Szkocji por. W. Gregory z I dywizji pancerniej, kpt. J. Holder-Horbaczewski z I dywizji pancerniej, żołnierz brygady spadochronowej — Z. Sliwowski oraz podchorąży J. Madaliński — żołnierz „Kedywu” z powstania warszawskiego.

CZY PROCHY OBRONCY WESTERPLATTE WRÓCĄ DO KRAJU?

„Prochy majora Henryka Sucharskiego powinny spocząć w ojczystej ziemi” — pod takim tytułem zamieszcza artykuł redakcyjny krajowy „Głos Wybrzeża”.

Warto przypomnieć, że prochy mjr Sucharskiego zostały pochowane we Włoszech na cmentarzu w Casamassina, po jego śmierci 30 sierpnia 1946 roku w Neapolu.

W „Głosie Wybrzeża” czytamy m. in.:

„Rozsiane po cmentarzach — a często i bezdrożach — całego prawie świata, świadczą groby Polaków o dziejach naszego narodu, o polskim losie, który tak często w minionym czasie układał się tragicznie. Wszędzie, gdzie ziemia kryje szczątki naszych Rodaków, jest serdeczna cząstka historii naszej ojczyzny. Niech trwają w świecie te polskie mogiły, niech świadczą o walce narodu, który przeżywał zwycięstwa i klęski”.

„Są jednak prochy, które pragnęłyby się mieć w Polsce. Są prochy żołnierzy postępu i żołnierzy wolności, nad którymi chciałoby się pochylić głowę w chwilach sposobnych do skupienia, chciałoby się dać wyraz czci i pamięci dla nich samych, a w ich osobach również dla tych wszystkich, których pociągnęli swoim przykładem do bohaterstwa i poświęcenia. Są takie prochy, których nie wahałoby się przetranszować z obcej, do polskiej ziemi”.

„Z neustadzkiego cmentarza w Dreźnie, na który kondukt jeniecki odprawili zwłoki gen. Franciszka Kleeberga, zebrano teraz jego prochy, aby przewieźć do Polski. Spoczną pod Kockiem, gdzie „generał ostatniej bitwy” dał w 1939 r. przykład męstwa i żołnierskiej wierności ojczystej ziemi. I ta mogiła będzie natchnieniem dla przyszłych pokoleń”.

„Proponujemy przeniesienie prochów obrońcy Westerplatte na Wybrzeże Gdańskie. Niewątpliwie grób mjr Sucharskiego w miejscu przesiąkniętym krwią westerplatteńczyków również miałby wymowę symbolu. Ten chłopski syn i świetny officer, urodzony w Gręboszowie (woj. krakowskie), powinien spocząć w ziemi, której obrona postawiła go w szeregu najpierwszych żołnierzy Rzeczypospolitej”.

RAYMONDE TEMKINE
W OPOLU

Paryski dwutygodnik „La Quinzaine Littéraire”, ukazujący się pod redakcją Mauricego Nadeau, zamieścił ostatnio artykuł o Opolu. Okazją stała się premiera „Kaliguli” Alberta Camusa w Teatrze Ziemi Opolskiej, o czym już informowaliśmy.

„La Quinzaine Littéraire” podkreśla, że sztuka wielkiego pisarza francuskiego była już w Polsce sześciokrotnie wystawiana. W Opolu sztuka odniosła również duży sukces, jak w innych miastach.

Dwutygodnik podaje sporo informacji o Opolu. Autorką artykułu jest literatka francuska Raymonde Temkine, która wielokrotnie była w Polsce. Dodajmy, że napisała ona — pierwszą w świecie — monografię o teatrze Jerzego Grotowskiego.

W POLSCE, WE FRANCJI W DOLINIE NILU i w BUŁGARII

REWELACYJNE ODKRYCIA POLSKICH ARCHEOLOGÓW

ŚLADAMI PRAPRZODKÓW • MEŃCZYŹNI POCHOWANI TWARZAMI DO SIEBIE • TAJEMNICE OPOŁA • CMĘNTARZYSKA NA MAZURACH • REHABILITACJA HERODOTA • WYKOPALISKA W SAINT-JEAN-le-FROID (DEP. AVEYRON) UKAZAŁY ŚREDNIOWIECZNĄ WIEŚ FRANCUSKĄ • WSPÓŁPRACA POLSKIEJ AKADEMII NAUK Z SORBONĄ • PRADZIEJE BUŁGARÓW

ICZNA kadra polskich archeologów penetrowała przez lato nie tylko cały obszar Kraju od Karpat po Bałtyk i od Buga po Odrę, dokonując często rewelacyjnych odkryć, ale prowadziła zakrojone na szeroką skalę wykopaliska za granicą: we Francji, Bułgarii, w dolinie Nilu i na Cyprze. Była to szeroka kampania, w której wybitne miejsce zajmuje czołowa instytucja archeologiczna w Polsce: Instytut Historii Kultury Materialnej PAN, obchodzący w bieżącym roku 15-lecie jego istnienia.

Obecna działalność Instytutu, rozwijająca się pod kierunkiem jego dyrektora prof. dr Witolda Hensla, ogniskuje się w dziedzinie prehistorii na przygotowaniu zespołowo opracowanej, nowej syntezy pradziejów ziem polskich. Zadaniu temu podporządkowano niemal wszystkie badania terenowe, przeprowadzane w różnych regionach Kraju.

W Polsce środkowej wymienić należy odkrycie schyłkowo-paleolitycznego obozowiska myśliwych i zbieraczy sprzed dziesięciu tysięcy lat w miejscowości Całowanie pod Otwockiem, a dalej stanowiska z okresu wpływów rzymskich w Kołozębii i w Otałążce w pow. Grójce w woj. warszawskim — gdzie jeszcze trwają badania osady bagiennej sprzed dwóch tysięcy lat — oraz na terenie średniowiecznego zamku w Czersku nad Wisłą.

W Małopolsce — prowadzono wykopaliska w Iwanowicach nad rzeką Dłubnią (w pow. Miechów, woj. krakowskie), ujawniły one obecność potężnego rowu obronnego, opasującego osiedle zamieszkałe przez ludność oddającą się zajęciom rolniczo-hodowlanym. Osiedlu temu, pochodzącemu z lat ok. 1800—1500 przed naszą erą, towarzyszy rozległe cmentarzysko z licznymi grobami, wśród których szczególnie zainteresowanie wywołał grób podwójny, w którym znaleziono szkielety dwóch mężczyzn pochowanych z twarzami zwróconymi do siebie i trzymających się za ręce. Zmarli wyposażeni byli w narzędzia krzemienne i amulety z kłów dzika.

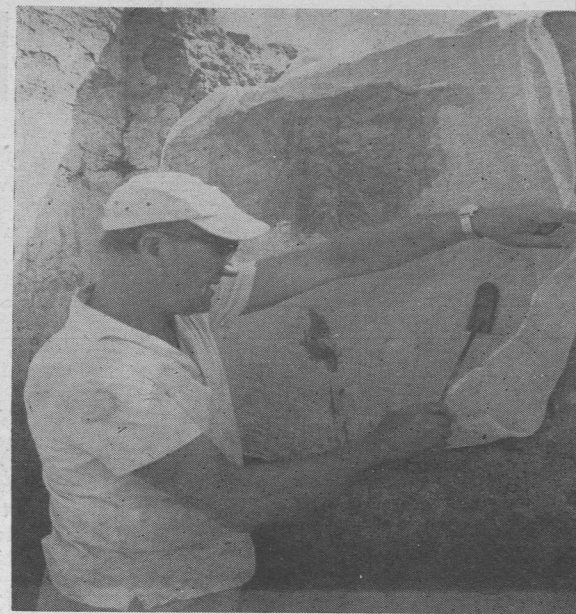
Szczególne nasilenie badań wykopaliskowych zanotowano w tym sezonie na ziemiach zachodnich. W Wojnowie, w pow. Sulechów (woj. zielonogórskie) na tarasie rzeki Obry (dopływ Warty) natknięto się na trzy mezolityczne stanowiska z licznymi narzędziami i odpadkami produkcji krzemieniarskiej oraz bułami surowca krzemieniowego sprzed bez mała 10 tys. lat.

Na Śląsku kontynuowano wieloletnie prace w Opolu, gdzie urządzony będzie niebawem rezerwat archeologicz-

ny. Początek wykopalisk na tym terenie datowany jest od przed wojny. Niemiecy uczeni po stwierdzeniu, że wykopaliska wykazują odwieczną słowiańskość Opola — zakopali je. Po powrocie Śląska do Polski badania podjęli polscy uczeni i niemal każdy sezon przynosi tu coś nowego z dawnej przeszłości. Trwają też prace wykopaliskowe na grodzisku wczesnosredniowiecznym w Kaszowie pod Miliczem (woj. wrocławskie), na którego podgrodziu odkryto skupisko odpadków produkcyjnych wytwórczości metalurgicznej — w postaci wytopków żelaza z żużłami oraz licznych odłamków form odlewniczych i tygielków.

Na Pomorzu zachodnim prowadzi się badania na stanowiskach wczesnosredniowiecznych w Wolinie (woj. szczecińskie) i Bardach-Swielubiu (woj. koszalińskie). W Swielubiu badaniami objęto 6 mogił na ciałopalnym cmentarzysku kurhanowym z IX wieku, na którym zaobserwowano wyraźne ślady zróżnicowania majątkowego pochowanej tu społeczności.

Niezwykle cenny odkryć dokonano na terenie woj. olsztyńskiego w związku z podjętymi w roku bieżącym przez Instytut wielkimi zespołowymi badaniami nad etnogenезą (pochodzeniem) Słowian oraz ich kontaktami z ludami bałtyckimi. W miejscowości Tumiary odkryto cmentarzysko z grobami starszyny plemiennej Galindów, pochowanej razem z wierzchowcami, których uprząd zdobyły liczne okucia



Zdejmowanie fresku w Farras w Egipcie

metalowe. Cmentarzysko to, pochodzące ze schyłku okresu rzymskiego i początku średniowiecza, wskazuje na szeroko rozwinięte kontakty kulturowe ludności ze Słowiańszczyzną wschodnią, Europą środkową i zachodnią oraz Bizancjum.

We wsi Franknowo w pow. biskupieckim odsonięto część osady z VII—IX wieku z kilku domostwami wyposażonymi w piece umieszczone w narożniku domu.

Tak obiecujące wyniki są wstępem do szeroko zakrojonych na obszarze północno-wschodniej Polski badań, które dotyczą problemu etnogenезy Słowian wiążąc się będą z przygotowaniami do VII Międzynarodowego Zjazdu Sławistów w Warszawie w roku 1973.

Naukowcy Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN kontynuują ponadto w roku bieżącym na zaproszenie zagranicznych placówek badania nad epoką kamienną Egiptu oraz przepro-

Dokończenie na str. 5

SREBRNA KOLIA z DIJON W LUBLINIE

Na Wielkim Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym w Dijon, Zespół Tańca Ludowego Studentów Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie zdobył zaszczytną SREBRNĄ KOLIĘ.

Dla studentów lubelskich, znanych zresztą z wielu występów na terenie Francji w poprzednich latach — sukces ten jest szczególnie cenny, uzyskali go bowiem w 25-lecie istnienia swej Alma Mater. Kierownikiem zespołu jest Stanisław LESZCZYŃSKI.

Obszerny fotoreportaż z Festiwalu w Dijon wykonany przez znanego fotoreportera Władysława SŁAWNEGO z opisem szczegółów pióra Tadeusza DOMANSKIEGO — zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Tygodnika Polskiego”.

POMNIK MICKIEWICZA W KOWNIE

Polska Agencja Prasowa podaje na podstawie doniesień prasy litewskiej, że w dolinie mickiewiczowskiej w Kownie stanie wkrótce pomnik Adama Mickiewicza. Projekt wykonał W. Stanelis jako pracę dyplomową w wileńskim instytucie sztuk pięknych.

Posąg Adama Mickiewicza zostanie odlany w brązie. Dwumetrowej wysokości postać wieszczą będzie ustawiona na naturalnym pagórku, na niewysokim postumencie.

Autor — jak sam stwierdza — chciał oddać w swej rzeźbie romantyczność i poetyczność postaci.

W związku z przygotowanym pomnikiem dolina mickiewiczowska zostanie odpowiednio urządzona. Planuje się odrestaurowanie prowadzącego do niej mostka, odnowienie ścieżki i przejścia.

K. M.

NOWY DAR ANTOINE'A

Warszawska Królikarnia — Muzeum im. Xawerego Dunikowskiego wzbogaciła swój zbiór o cenny dar. Jest nim niewielki obraz (35 cm × 60 cm) pędzla tego jednego z najznakomitszych współczesnych polskich rzeźbiarzy i malarzy.

Przekazał go (jako już czwarty z kolei) Antoine Cierplikowski, Polak zamieszkały w Paryżu, długoletni przyjaciel artysty, światowej sławy artysta sztuki fryzjerskiej. Obraz ofiarował Antoine za pośrednictwem b. konsula generalnego p. Stanisława Pichli, dwa miesiące temu. 11 września p. konsul Pichla w towarzystwie wicedyrektora departamentu konsularnego p. Wł. Wojtasika przekazał dar Antoine'a kustoszowi Muzeum p. Alek-

sandrze Kodurowej. Obraz jest tym cenniejszy, że powstał w pierwszym roku (1915 r.) pobytu X. Dunikowskiego w Paryżu. Przedstawia małą laleczkę stojącą obok lampy. Utrzymany w szaroseledynowym kolorze, wzbudza atmosferę ciepła i spokoju. X. Dunikowski podarował niegdyś tę jedną z pierwszych swoich prac przyjacielowi Antoine'owi i stanowiła ona wzruszającą i cenną pamiątkę ich pierwszego spotkania. Pan Antoine Cierplikowski postanowił wzbogacić zbiory Muzeum o tę drogą swemu sercu pamiątkę. Fotoreportaż z tej miłej uroczystości zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

REFLEKSJE Z MINIONEGO LATA

SEZON TURYSTYCZNY 1969 dobiegł już niemal do końca. Wprawdzie w południowych częściach Europy spotyka się jeszcze wielu wycieczkowiczów, przede wszystkim tych, którzy nie znoszą upalnych dni lata i tłoku, jaki od kilku lat w miesiącach urlopowych odbiera chęć do podróży i wypoczynku, ale w sumie sezon letni 1969 mamy już za sobą. **Był bogatszy**, jeszcze bardziej gromadny niż w latach poprzednich, objął niemal całą Europę, ściągnął na stary kontynent około **półtora miliona** Amerykanów, Kanadyjczyków i Australijczyków, wciąż uważających europejskie kraje za swoją **pierwszą ojczyznę** — Anglików, Irlandczyków, Francuzów, Niemców, Norwegów, Włochów, a także **kilkadziesiąt tysięcy Polaków**, przyniósł zwiększone wpływy dewizowe większości turystycznych krajów i oczywiście nasunął szereg refleksji.

Smutny obraz

Odbiegają one bardziej niż w latach poprzednich od istotnych treści wypoczynkowych czy krajoznawczych, jakie niesie ze sobą każdy urlop, każda wycieczka, każdy wyjazd, który ma wzbogacić naszą znajomość świata, poszerzyć nasze zainteresowania, oderwać nas od zwykłej, szarej codzienności, napełnić radością i nowymi siłami do całorocznej pracy. Dotyczą te refleksje strony organizacyjnej: **tłoku**, który staje się czymś przerażającym, **zakorkowań samochodów**, występującego przy tym **zdenerwowania**, **ilości nieszczęśliwych wypadków**, **hałasu**, **braku miejsc w hotelach, schroniskach**, **na campingowych placach**, które miały dać nie tylko tańsze możliwości letniego bytowania urlopowego, ale przede wszystkim zaradzić brakowi miejsc noclegowych.

Z roku na rok obraz ten jest potworniejszy i coraz bardziej beznadziejny. Nic się przy tym nie robi w tym kierunku, aby sezon urlopowy rozciągnąć w czasie. Można by to osiągnąć przez jakieś sensowne podzielenie ferii szkolnych. Tysiące rodzin uzależnionych jest bowiem od swych dzieci, uczniów i uczennic szkół podstawowych i średnich, a konserwatywni pedagodzy i niemniej konserwatywne władze oświatowe tkwią wszędzie w XIX-wiecznym systemie, który ustalił, że wakacje muszą przypaść na lipiec i sierpień. A przecież **można by je jakoś podzielić**: część szkół mogłaby wypoczywać już od końca maja do końca lipca, inne od czerwca do sierpnia, a jeszcze inne kończyć ferie z końcem września.

Trucizna

Podróżowanie samochodami, zwłaszcza na początku, na przełomie sezonu i pod jego koniec, stało się **męczarnią** nawet przy najlepszej organizacji służby drogowej. Systematyczny, a nieraz zaskakująco duży wzrost ilości samochodów wyprzedza rozwój sieci kołowej. Na domiar złego niechęć przemysłowców do innych niż benzyna środków napędowych powoduje **kolosalne obniżenie zdrowotnych wartości podróżowania** w wyniku zatrucia powietrza wylęgami spalinowymi.

Wyjdźcie na jakieś wyższe wzniesienie odległe o kilometr lub półtora od przebiegającej uroczą doliną autostrady i spojrzycie na długie sznurki samochodów pędzących nią poniżej: przy najpiękniejszej nawet pogodzie otacza je **trujący półmrok z wylęgów**. Znajdujący się w nim ludzie oddychają tą trucizną podobnie jak na co dzień na ulicach zatłoczonych i nerwowych miast, w większości nie przystosowanych do ogromnych przeobrażeń, jakie nastąpiły w drugiej połowie naszego wieku.

Oazy brudu

Przybrzeżne wody wokół europejskiego kontynentu **pełne są podobnych zanieczyszczeń**, wyrzucanych przez tysiące statków i olbrzymie tankowce transportujące ropę. Wody i plaże morskie stają się zbiornikami brudu. **Ginie życie biologiczne wód morskich** — rośliny, ryby, zwierzęta wodne. Przez jakiś czas fauna morska próbuje się ratować, ucieka dalej, głębiej, ale i tam ściga je nieubłagane cywilizacja naszych czasów. Przykłady można by tu mnożyć — z łądu, morza, wód śródlądowych, ba z powietrza, bo i tam coraz częściej jeden samolot zastępuje drogę drugiemu i wtedy

lekkie nawet potrącenie powoduje śmierć wielu ludzi istnień.

Świat jakby zwariował. W tych warunkach ni jednemu ogródek przy domku na odległym przedmieściu wydaje się, nie bez racji, oazą szczęścia. A jednak trzeba wyjeżdżać, trzeba podróżować, zwiedzać inne regiony i kraje, poznawać nowe okolice i nowych ludzi. **Leży to w naturze człowieka, jest mu jak najbardziej potrzebne, wiąże się z jego rozwojem**. Trzeba więc szukać jakichś rozwiązań. Radykalne zmiany są tu jednak niemożliwe, zależą bowiem nie od pojedynczego człowieka, lecz od całego systemu ekonomicznego i organizacyjnego, od tysięcy wzajemnych uzależnień wielu złożonych dziedzin życia.

Co zatem robić?

Korzystać z doświadczeń

Niemal każdy z nas ma już w sprawach urlopowych jakieś doświadczenie. I korzysta z doświadczenia innych członków rodziny, krewnych, sąsiadów, przyjaciół. Trzeba więc wykorzystać te doświadczenia. A więc przede wszystkim, jeżeli to tylko możliwe, jeżeli nie jesteśmy skrepowani koniecznymi terminami własnymi czy naszych najbliższych, **nie wybierać się na urlop w głównych miesiącach wakacyjnych**, lecz przed ich nadejściem lub po nich. Główny zaś okres lata tak sobie ułożyć, by podczas jego trwania korzystać z wypoczynku doraźnego w dniach świątecznych i wolnych od pracy w zdrowych podmiejskich ustronniach na łonie przyrody, możliwie bez odbywania długich samochodowych podróży głównymi arteriami komunikacyjnymi.

Unikać mody

Jeżeli jednak urlop trzeba spędzić w ciągu wakacyjnego szczytu, **należy wtedy unikać tras i miejscowości modnych**, do których pędzi cały świat, gdzie się wszyscy wybierają i uważają za punkt honoru, że właśnie tam powinni w tym roku spędzić swoje wakacje; wracają zaś z nich zawiedzeni i zmęczeni. To prawda, że na świecie jest coraz bardziej ciasno, ale **wciąż jest jeszcze dostatecznie dużo miejsca w okolicach i regionach, które nie stały się łupem biur podróży, atrakcyjnej reklamy i mody**.

Modą jest, że cała Europa pędzi latem do południowego słońca. O ile w jakimś stopniu mogą to uzasadnić mieszkańcy Skandynawii, to przecież nie ma żadnego powodu, by ludzie z południa i zachodu Europy nie wypoczywali na północy kontynentu, w rejonie basenu bałtyckiego, w krajach Europy środkowo-wschodniej. **Lato jest tu może nieco krótsze, ale równie piękne, a przy tym mniej wyczerpujące, zaś jesień, jak np. w Polsce, mieni się wyjątkowo pięknymi kolorami**. Nie przez przypadek lud nadał jej nazwę „**złotej jesieni**”. Złotej — gdyż zieleń drzew, nie spalona w miesiącach letnich żarem słońca, corocznie traci swe naturalne kolory przekształcając się stopniowo w żółtozłote barwy, by tak dotrwać do dni zimowych, które ją dopiero wichurami i mrozem ostatecznie zniszczą.

Wprawdzie i w tych krajach ruch turystyczny, wypoczynkowy i czasowy przybiera na sile z sezonu na sezon i stopniowo staje się w nich bardziej tłoczno, ale wciąż jest tu jeszcze luźniej niż w krajach turystycznie modnych. I tak będzie jeszcze chyba przez najbliższe kilka lat.

Plan na rok 1970

Planowanie i przygotowanie do **następnego urlopu** rozpoczyna się zwykle przed nadchodzącą zimą, zwłaszcza jeżeli chodzi o wybór kierunku przyszłorocznego wojażu. **Należy więc już dziś o nim myśleć i odpowiednio rzecz rozważyć**.

I jeszcze jedno. Ostatnie lata wyraźnie wskazują, że w **ogólnoturystycznym ruchu światowym potężny nurt stanowi turystyka dawnych emigrantów**. Z Ameryki jej obywatele pochodzenia irlandzkiego i norweskiego odwiedzają przede wszystkim Irlandię i Norwegię, a jest ich więcej niż stałych mieszkańców w tych krajach. Niemcy jeżdżą do Niemiec, Włosi do Italii, Grecy do Grecji, Węgrzy na Węgry itd., itd. **Zagraniczni Polacy czy obywatele innych państw polskiego pochodzenia powinni więc przede wszystkim poznać Polskę, każdorazowo inny jej region**.

Listy do redakcji

TYGODNIK CZYTAM
OD PIERWSZEJ
DO OSTATNIEJ STRONY

SZANOWNA REDAKCJO!

W pierwszym roku, kiedy się pismo dopiero zawiązało i kiedy zdobywaliście pierwszych czytelników, jedna znajoma przyszła do nas i wciągnęła mojego syna na listę abonentów. Po roku syn chciał przerwać prenumeratę Waszego pisma z braku czasu. Mimo iż czyta bardzo dobrze po polsku, nie ma wolnego czasu, bo ma szkołę samochodową i daje lekcje jazdy. Zona jego jest również bardzo zajęta. Otrzymują dużo pism i książek i bardzo lubią czytać, ale ciągle są zajęci. Syn mój wybiera zawsze artykuły, które go bardziej interesują, bo czas nie pozwala mu na czytanie wszystkiego, ja natomiast czytam Wasze pismo od pierwszej kartki aż do ostatniej. Tak polubiłam „Tygodnik”, że trudno było mi się z nim rozstać i na miejsce syna ja zostałam stałą abonentką.

Bardzo mnie ciekawi wszystkie, co „Tygodnik” pisze o Kraju. Wiadomości z Polski zawsze są dla mnie bardzo interesujące, bo ja ogromnie kocham nasz polski kraj i moich Rodaków. Wszystko, co polskie, sercu memu miłe jest i kochane, dlatego więc o tym czytać i wspominać bardzo mi miło.

Muszę dodać, że byliśmy w Polsce z synem, jego żoną i dwojgiem unucząt. Wszystko mi się tam bardzo podobało. Zwiedziliśmy kilka miast: Bydgoszcz, Warszawę, Oświęcim, Kraków, Łódź, Częstochowę, Krzepiec — moje rodzinne miasteczko, wiele jeszcze innych. Było to w roku 1965. Mielśmy zamiar w tym roku jechać znowu, ale z wielu powodów nie udało się nam doprowadzić wyjazdu do skutku. Na drugi rok, jeśli szczęśliwie doczekamy, to pojedziemy.

Mam jeszcze dużo rodziny w Polsce i utrzymuję z nią kontakt stale. Dostaję bardzo dużo listów, na które staram się odpowiadać. Miałam już trzy wizyty z Polski. Dwa lata temu była moja siostra z córką. Rok wcześniej przyjechał syn mojej najstarszej siostry. Wszyscy mi mówili, że jest im teraz o wiele lepiej niż przed wojną. Zwłaszcza bardzo wysoko stoi poziom nauki. Możliwość kształcenia się mają wszyscy. Cieszy mnie to niezmiernie. Prawie cała rodzina ma wyższe wykształcenie. Ja, niestety, nie chodziłam nigdy do szkoły, bo dawniej, a zwłaszcza przed pierwszą wojną światową, był wielki brak szkół. Mam obecnie 69 lat.

Niech mi szanowna Redakcja wybaczy, że się tak o wszystkim rozpisałam. Jak już wspominałam, szkoły nigdy nie znałam, a czytam i piszę na tyle, co się z moich chęci nauczycielką. Od wielu lat jestem już czytelniczką Waszego pisma, lecz nigdy nie odważyłam się napisać ani jednego listu, a to z tego powodu, że ogromnie pisać nie lubię, pisanie mnie bardzo męczy, nie jestem zresztą już młoda. Kontakt z całą rodziną jednak utrzymuję. Mój syn i moja córka także piszą listów nie lubią. Moja córka tu już się urodziła, zamężna jest za Francuzem, do szkoły polskiej nie chodziła nigdy, ale po polsku pisać umie dobrze. Syn pisze jeszcze lepiej, ale mnie nikt w piśmiu wyreczyć nie chce.

Ten mój pierwszy list odważyłam się napisać dlatego, że zmieniliśmy adres. Mój syn kupił willę przy innej ulicy, niezbyt daleko od dawnego miejsca naszego zamieszkania, ale wtedy moja ulubiona gazeta zaczęła ginąć. Już mi trzy „Tygodniki” przepadły i z tego powodu zmuszona byłam do Szanownej Redakcji napisać.

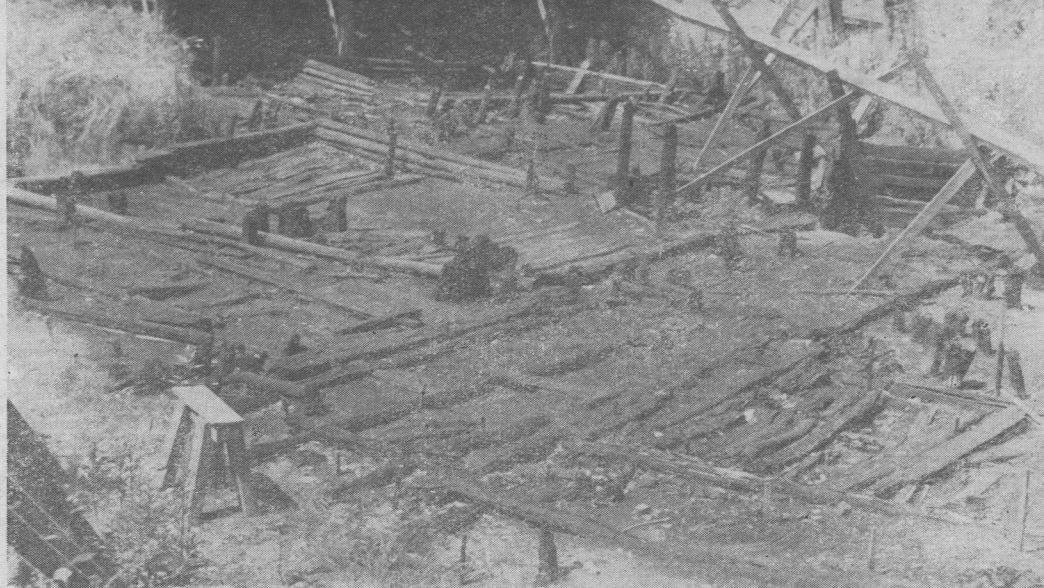
Przesyłam serdeczne pozdrowienia, życzę owocnej pracy „Tygodnikowi” i jak najwięcej wiadomości o Polsce.

Leokadia MASKOT
(Tuluza)

Dziękujemy bardzo za tak szczerą wypowiedź i tyle serdecznych słów pod adresem naszego pisma. List Pani szczerze nas wzruszył.
Redakcja



W Muzeum Ziemi Opolskiej zgromadzone bardzo interesujące znaleziska



Tak wygląda teren, na którym przeprowadza się badania archeologiczne

REWELACYJNE ODKRYCIA POLSKICH ARCHEOLOGÓW

Dalszy ciąg ze str. 3

wadzili dalsze badania nad problematyką tzw. średniowiecznych wsi opuszczonych we Francji, zaś w ramach współpracy z Bułgarską Akademią Nauk podjęli drugi etap własnych badań nad wczesnym średniowieczem Bułgarii.

Badania w Egipcie rzuciły nowe światło na najdawniejszą przeszłość oazy Fajum, położonej na zachód od Nilu nad jeziorem Birket Quarun. Stwierdzono m. in., że w okresie od VIII do VI tysiąclecia p.n.e. jezioro było potężnym zbiornikiem wodnym, nad którego brzegami rozwijało się intensywnie osadnictwo ludności zajmującej się rybołówstwem. Za dynastii faraonów — budowniczych wielkich piramid (2600—2480 przed naszą erą) ludność miejscowych osad portowych eksploatowała tam złoża diorytu, używanego do wykańczania wnętrza piramid, transportowanego drogą wodną na miejsca budowy. Tegoroczne badania zrehabilitowały też starogreckiego historyka Herodota, którego relację na temat oazy Fajum dotąd kwestionowano. Badania geologiczne w pełni potwierdziły słuszność jego informacji o jeziorze Birket Quarun z podróży do Egiptu w V wieku przed naszą erą.

W ramach współpracy francusko-polskiej — polscy naukowcy przeprowadzili badania wykopaliskowe w Saint-Jean-le-Froid (dep. Aveyron), odkrywając cały wiejski zespół osadniczy, pochodzący z X—XV wieku. Badania te pozwoliły na odtworzenie obrazu całości układu przestrzennego dawnej wsi francuskiej — z jej domami, ulicami, urządzeniami kanalizacyjnymi, zbiornikiem wodnym, budowlą sakralną i zabudowaniami przykościelnymi, cmentarzem, urządzeniami przemysłowymi — w postaci pieców do wytopu brązu, linią umocnień obronnych oraz dwiema bramami. Odkrycie płyty kamienia ofiarnego wskazuje na istnienie tu w dobie przedchrześcijańskiej ośrodka kultu pogańskiego.

Przeprowadzone w ramach współpracy Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN z VI Sekcją École Pratique des Hautes Études (Sorbona) badania wykopaliskowe w Saint-Jean-le-Froid dowiodły przydatności metod badawczych, stosowanych przez polską archeologię, do badań nad historią gospodarczą średniowiecznej Francji. Wzbogacając wiedzę o kulturze wsi francuskiej w średniowieczu, badania te pozwoliły obiektywnie ocenić poziom kultury polskiej w tym okresie. Były one wreszcie okazją do wyszkolenia przez polską ekipę, zgodnie z życzeniem strony francuskiej, kadry specjalistów francuskich, którzy w przyszłości będą kontynuowali te prace samodzielnie.

Dotychczasowe badania wykopaliskowe w Bułgarii, przeprowadzone tam przez polskich archeologów, doprowadziły do ważnego stwierdzenia, iż poziom kultury miejskich ośrodków w średniowiecznej

Bułgarii nie różnił się od poziomu w analogicznych ośrodkach zachodnioeuropejskich. Badania w Styrmie nad Dunajem ukazały proces kształtowania się w VI—VII w. kultury bułgarsko-słowańskiej na podłożu przeżywających się elementów antycznych o lokalnym zabarwieniu trackim. Ujawniły one potrzebę rozkopania nie tylko dużych ośrodków miejskich, ale także i mniejszych, ilustrujących przeciętny poziom kultury szerszych mas społeczeństwa. Wymowne w tym świetle było wykrycie śladów masowej produkcji ozdób brązowych, będących nadszladowaniem okazałej biżuterii

złotej, co ilustruje dobitnie przeciętny poziom kultury ówczesnej Bułgarii.

W zawartości eksplorowanych w Styrmie nawarstwień kulturowych znajdują odbicie zmienne koleje losu Bułgarii średniowiecznej, lata pomysłowości i klęsk. Po tak owocnych poszukiwaniach archeologicznych ekipy archeologów Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN przystępują w Bułgarii do rozkopania grodziska z niezwykle bogatymi nawarstwieniami kulturowymi w miejscowości Odercy pod Tobuchinem.

Doc. dr Wł. SZAFRAŃSKI Ceramika sprzed ok. dwóch tysięcy lat

PRADZIEJE DOLINY NILU

NA ŚLADACH PRAKOLEBKI CZŁOWIEKA I NAJSTARSZYCH ROLNIKÓW

A oto garść szczegółów dotyczących badań w dolinie Nilu. Dolina ta — tradycyjnie uważana za kolebkę najstarszej kultury ludzkiej — od dawna intrygowała archeologów. Nad Nilem szukano śladów pradawnej cywilizacji, z której wyrosły późniejsi budowniczowie piramid. Przez długi okres czasu badania koncentrowały się na szukaniu śladów starożytnego państwa Faraonów. Zdołano dość dokładnie poznać dzieje Egiptu do ok. IV tysiąclecia p.n.e. Starsze dzieje tego obszaru były poznane bardzo fragmentarycznie. Przed kilku laty z inicjatywy Uniwersytetu Kairskiego zorganizowano międzynarodową ekspedycję archeologiczną, która prowadzi kompleksowe badania w dolinie Nilu od rzeki Atbary na samej delcie. W skład ekspedycji, obok archeologów, wchodzi naukowcy różnych specjalności — geologii, paleobotaniki, paleozoologii, geofizyki. W pracach ekspedycji uczestniczą także naukowcy z Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN, m. in. warszawscy archeolodzy: doc. Waldemar Chmielewski i doc. Romuald Schild. Głównym zadaniem ekspedycji jest wyjaśnienie, jak kształtowała się historia doliny Nilu od czasów najdawniejszych, co było na tych terenach przed powstaniem najstarszego państwa egipskiego, skąd wzięła się wysoko już rozwinięta kultura Starego Państwa?

Starszy o 80 tys. lat. Badania ekspedycji prowadzone od 1962 r. obalily wiele dotychczasowych poglądów dotyczących początków ludzkiej cywilizacji i starożytnych dziejów Afryki. Wyjaśniono, że wbrew dotychczasowym poglądom Nil nie jest rzeką młoda, istniejąca ok. 20 tys. lat. Badania geologiczne wykazały, że system wodny Nilu istnieje już co najmniej 80—100 tys. lat. W okresie od 30 do 10 tys. p.n.e. zaobserwowano zmiany klimatu wiążące się z ruchami lodowców w Europie i Azji. Dwukrotnie w tym czasie poziom rzeki bardzo się podnosił, raz uległ znacznemu obniżeniu. Zmieniało się także środowisko doliny Nilu — kilkakrotnie pustynia ustępowała miejsca sawannom i lasostopom. Odkrycie historii geologicznej doliny Nilu miało doniosłe znaczenie, gdyż udowodniło, że Nil w czasie ostatnich 100 tys. lat był jedyną wielką rzeką w tej pustynnej lub stepowej części Afryki. Dlatego też ewen-

tualne osadnictwo musiało się koncentrować w dolinie tej rzeki.

Prakolebka człowieka? Zwiad archeologiczny w rejonie Khasm el Girba nad Atbarą w pobliżu granicy etiopsko-sudańskiej przyniósł rewelacyjne odkrycia. Na pograniczu sawanny* i lasów tropikalnych znaleziono 15 stanowisk prastarych kultur myśliwskich. Były to ślady obozowisk ze szczątkami prymitywnych narzędzi kamiennych. Znaleziono także liczne kości zwierząt: słoń, nosorożców, zyrat i antylop. Były to ślady bytności plemion kultury aszelskiej, która występowała na obszarze całego Starego Świata ok. 350—400 tys. lat temu. Kultura ta w Afryce pojawiła się jednak znacznie wcześniej niż w Europie czy Azji. Nad Atbarą znaleziono kolejnej jej fazy od starszej aż do schyłkowych.

Na uwagę zasługuje fakt, że Afryka wschodnia — a głównie Krajina Wielkich Jezior Afrykańskich — uchodzi za kolebkę pracownika. W wawozie Olduwa i Tanganie angielski uczony, prof. Leakey znalazł szczątki pracownika oraz ślady najstarszej cywilizacji — obrabione ręka ludzka otoczki. Prawdopodobnie stąd wydzia się późniejsze kultury początków najstarszego paleolitu.

Dalsze badania koncentrowały się na terenie Nubii Sudańskiej i Egipskiej. Ujawniono tu ślady osadnictwa sprzed 120 tys. lat. Obozowiska te były wielokrotnie opuszczane i zasiedlane, co świadczy o ruchliwości ówczesnych mieszkańców doliny Nilu. Plemiona te zostawiły po sobie tajemnicze kopczyki z kamieni i szczątków narzędzi, które budowano prawdopodobnie jako znaki orientacyjne, wskazujące źródła wody. Znaleziono też b. bogate ślady kultury sangońskiej sprzed 40—23 tys. lat p.n.e. Kultura ta znana jest głównie z dorzecza Konga oraz z Kenii i Tanganiki. Nad Nilem znaleziono najdalej na północ wysunięte stanowisko tej kultury w odległości 1500 km na północ od Chartumu. Znajdowało się tu prawdziwe „zagłębienie przemyślowe” — wielkie kopalnie odkrywkowe kwarcytu żelazistego, cennego surowca do wyrobu broni i narzędzi. W pobliżu kopalni znajdowały się warsztaty kamieniarskie



Ceramika sprzed ok. dwóch tysięcy lat

przerabiające na miejscu wydobyty surowiec. Na terenie dawnych warsztatów zebrano ponad 15 tys. wyrobów kamiennych, pól surowców i odpadów.

Gdzie znajdowali się pierwsi rolnicy? Jednym z najcenniejszych odkryć ekspedycji było odnalezienie w miejscowości Esna k/Luksoru śladów nieznanej kultury z XI—X tysiąclecia p.n.e. Ujawniono tu ślady najstarszego rolnictwa. Wśród licznych narzędzi krzemiennych znaleziono wiele niewielkich sierpów z charakterystycznymi rysami i wybyszczeniami, jakie powstają tylko przy ścinaniu zbóż. Zdołano też odtworzyć dzięki doskonale zachowanemu śladom starego osadnictwa kolejne fazy przechodzenia ludności myśliwskiej i rybackiej do osiadłego, rolniczego trybu życia. Można dokładnie prześledzić, jak niewielkie, sezonowo zamieszkiwane osady rybaków i myśliwych przekształcały się w rozległe, gęsto zaludnione, stałe osiedla rolników. Przypuszcza się, że pierwsi rolnicy nie uprawiali jeszcze roli w dosłownym znaczeniu, a jedynie wykorzystywali dziko rosnące zboża. Odkrycie to obala utrzymujące się do niedawna pogląd, że rolnictwo pojawiło się na terenie Mezopotamii dopiero w IX—VIII tysiącleciu p.n.e. Również w okolicach Luksoru odkryto jeszcze jedną nieznana kulturę w miejscowości Dishna. Kultura ta pochodzi z XI tysiąclecia p.n.e. i została po sobie najstarsze dzieło sztuki znane w tej części Afryki. Jest to niewielka płytka wapienna pokryta oryginalnym ornamentem geometrycznym.

Z innych odkryć na uwagę zasługują ślady różnych kultur, które znane były do tej pory z terenów Maroka, Tunisu i Algierii. Świadczy to, że aż do początków VI tysiąclecia p.n.e. Sahara była dostępną dla człowieka. Dopiero później pustynia stała się barierą uniemożliwiającą kontakty kulturalne pomiędzy Afryką zachodnią a wybrzeżami Morza Czerwonego.

Budulec na piramidy. W tym roku ekspedycja koncentrowała swoje badania w rejonie Oazy Fajum, nad jeziorem Birket Quarun. Ujawniono wiele nieznanych szczegółów z geologicznej przeszłości jeziora, które w IV tysiącleciu p.n.e. miało poziom wody o 70 m wyższy niż obecnie i zajmowało powierzchnię 2,5 tys. km², tj. 10-krotnie większą niż współcześnie. Na brzegach jeziora znaleziono ślady starego osadnictwa oraz zdołano zidentyfikować odkryte w latach dwudziestych, ale nie rozpoznane budowle z okresu IV dynastii faraonów (2600—2480 lat p.n.e). Były to szczątki dawnych portów, w których ładowano kamienie do budowy piramid.

Andrzej MARKET

ZE WSPOMNIENIĘ STAREGO EMIGRANTA (3)

WIKTOR MACIEJEWSKI



W ASKĄ drożyną wśród ładu pszenicy doszliśmy do łąki. Rowery w zboże i przez niewielki sad Paweł doprowadził mnie do muru, za którym stała obora. Wskoczyłem mu na pochylony grzbiet, wdrapałem się i usiadłem okraciem na murze, miałem stąd dość duże pole widzenia na podwórze i róg budynku mieszkalnego. Bałem się psa, ale tylko wielki kogut głośnym ko-ko-ko objawiał swoją czujność. Mój towarzysz poszedł dalej, aby z innej strony kontrolować podwórze. Nie zdaje sobie dzisiaj sprawy, jak długo tak siedziałem, gdy nagle grzebiące w pobliżu kury i pilnujący mnie kogut pobiegły za węgielne obory, skąd dotarło mnie cudowne polskie — „cip-cip-cip”. Zeskoczyłem z muru i skokiem tygrysa znalazłem się przy narożniku. W pobliżu, jak Zosia z „Pana Tadeusza”, stała młoda dziewczyna i z naczynia sypała ziarno na kurze grzbiety. Jeden rzut oka: okna domu zamknięte, nikogo na podwórzu, szybko więc wychyliłem głowę, przyłożyłem palec do ust i zaryzykowałem: „Kasia... Kasia...”

Tylko kogut odpowiedział mi: „ko-ko-ko”. Zawołałem głośniej. Odwróciła się i wystraszona przestała sypać ziarno.

Kasia, Kasia... i kiwałem ręką, by do mnie podszła. Zrozumiała, skinęła głową i dała znak ręką, bym się cofnął. O kilka kroków od muru oparto o ścianę stos tyczek, więc cofnąłem się za nie. Kasia przeszła parę kroków, po czym skierowała się w moją stronę. Kiedy zbliżyła się, wyszeptwała: „Ostrożnie, ostrożnie”. — Jest tu i Paweł w pobliżu. Chcemy cię wyswobodzić — rzuciłem słowo bez ładu. Wszystko wiem... Czyś zaszła...

— Zabierz mnie stąd, zaraz, uciekajmy...

Była ładna, ale nagle ścisnęła mi rękę i zasłoniła sobą: Rosny szedł przez podwórze, stanął, zwrócił się, spojrzął w naszą stronę i jakby piorun w niego trzasł, popędził w kierunku domu.

— Uciekaj! — krzyknęła przerażona dziewczyna i pobiegła w podwórze, skąd słyszałem przekleństwo i suchy zgrzyt zamykanej strzelby.

Mówią, że strach ma wielkie oczy, ale wyzwała on również ukryte siły. Skok i byłem na murze, a zsuwając się widziałem, jak Rosny biegł ku mnie z fuzją, krzycząc charakterystyczne dla Francuzów: „Salaud!”

Wybiegłem z ogródka i krzyknawszy głośno: „Paweł” wpadłem na drożynę. Kiedy stanąłem, ktoś pędził w moją stronę. Paweł? Nie, Rosny z fuzją. Chyżo jak zając popędziłem drogą, skąd przyjechałem. Słyszałem za sobą ciężki oddech goniącego: „Je t'aurai, ej t'aurai...” — charczał coraz bliżej. „Będę cię miał!”

Nie! Przeskoczyłem kałuże, o on tuż, tuż. Instykt podsunął rozpaczliwą radę: „Plackiem do rowu, dobiegnie, schwyć za nogi, szarpnij, wyrwij broń”. Ale w tej sekundzie rozległ się strzał i spostrzegłem, jak wiele kłosów odpadło od łądy i osunęło się ku ziemi. Znow kilkanaście skoków, obejrzałem się i zatrzymałem: Rosny, kłęcząc na jednym kolanie podnosił się z kałuży; w pewnym oddaleniu biegł Paweł, a jeszcze dalej jakaś kobieta, ale nie Kasia. Rosny wstał, pogroził mi pięścią, Paweł schował się w zboże, a kobieta, widocznie żona, dobiegła do zbója, schwyciła go za rękaw i gestykułując drugą ręką zawróciła z nim w stronę fermy.

K TOS powiedział, że łatwiej napisać książkę niż krótkie opowiadanie. Mnie te wspomnienia również poniosły za daleko, ale aby opowiedzieć dalsze wrażenia dość dokładnie, starczyłoby na dobrą godzinę. Więc tylko krótko opowiem, co się wydarzyło później.

Odnaleźliśmy z Pawłem rowery i w drodze powrotnej opowiedział mi, że i on widział Kasię, kury, gospodarza, jak się rozglądał, jak pobiegł do sieni i wypadł ze strzelbą, jak Kasia zabiegła mu drogę, jak ją pchnął, jak upadła, a wtedy on pobiegł do rowerów, ale ja, zamiast w prawo, popędziłem w lewo, a Rosny za mną, więc i on rzucił się w tę stronę drząc o moje życie. Na szczęście Rosny się przewrócił. Byliśmy zadowoleni, więc w kawiarce w pobliżu ruin starego zamku na pożegnanie i na pohybel Rosny'emu postawił „kielicha” i wkrótce hajda każdy w swoją stronę. Po przybyciu do domu opowiedziałem zdarzenie panu Retif, który uparł się i nazajutrz rano pokuścił za mną na posterunek miejscowej żandarmerii.

No, cóż? Nie byłoby dla nas nic do roboty, gdyby nie było głupców — powiedział porucznik żandarmerii po wysłuchaniu mego opowiadania. — Jesteśmy w Republice, a prawo jest prawem, dla każdego równe. Czy zechce pan pojechać z dwoma żandarmami, by tłumaczyć i ewentualnie zabrać dziewczynę?

Pojechałem. Furtkę otworzyła nam przeleka przybiciem żandarmów gospodyni, całkiem niebrzydka wysoka szatynka. Oszołomiona przybiciem władzy, odpowiadała powoli i ostrożnie: Mąż wyjechał za interesem do Orleanu, nie wie kiedy wróci. Polka? Jest jeszcze, ale ją wypędzi, bo łajdaczy się z mężem. Gwałt? Kłamstwo! To ona jest nieszczęśliwa. Dziecko? Bezcelne przypuszczenie.

Sprawdzono Kasię. Patrzyliśmy z litością na tę umęczoną twarz. Gdy powiedziałem jej, co zeznała patronka, rzuciła się na nią z paznokciami, ale przezorny żandarm pohamował ją, więc poczęła płakać, jej gospodyni również. Wreszcie dowiedzie-

Autor wspomnień p. Wiktor Maciejewski, stary drukarz paryski, opowiedział w dwóch poprzednich odcinkach, jak to po pierwszej wojnie światowej przybył ze swoją rodziną z Kalisza do Francji. Miał za sobą w Kraju niewielką praktykę drukarską, którą w Paryżu udało mu się uzupełnić ukończeniem szkoły dla litotypistów. Po zdaniu egzaminu został zaangażowany w drukarni w Pithiviers. W chwilach wolnych od pracy nawiązywał kontakty z emigrantami z Polski, a w dni targowe służył za tłumacza rolnikom polskim którzy przyjeżdżali do miasteczka. Od jednego z Rodaków, Pawła, dowiedział się że w pobliskiej fermie jej właściciel, Rosny, wiezi polską dziewczynę. Któregoś wolnego popołudnia pan Wiktor wraz z Pawłem wybrali się na rowerach do owej fermy, ale właściciel nie wyraził zgody na rozmowę z dziewczyną. Wtedy Wiktor i Paweł postanowili użyć podstępów.

URATOWANIE
DZIEWCZYNY

liśmy się, że jest tu od czterech miesięcy; dwa były znośne, a od dwóch nie wyszła poza mury zagrody, często zamykana w izbie na strychu. Gwałt był, jak Marcel mówił, potem — musiała. Czy jest w ciąży? Chyba nie. Ma narzeczzonego ze swojej wsi, też na kontrakcie we Francji. Boi się i nie chce tu dłużej być...

Skończyło się podpisaniem protokołu przez madame Rosny. Kasia spakowała swój tobołek i zabrała ją do Pithiviers, gdzie w międzyczasie pan Retif i porucznik znaleźli jej dobrą służbę. Dalej — mówili — trzeba poczekać, aż Rosny stawi się na wezwanie. Proszono mnie, bym nie rozpowiadał o zajściu.

W trzy dni później, jak zwykle tego tygodnia, kończyłem pracę o godz. 14 i jak zwykle śpieszyłem do ogólnej sali restauracji, aby zjeść spóźniony obiad. Ale w drzwiach wziął mnie pod rękę porucznik żandarmerii po cywilnemu i podprowadził do bufetu, a po chwili zjawił się pan Retif oświetlnie ubrany. Krótko: w gościnnej salce czeka Rosny z bratem i przyjaciele. Chce sprawę załatwić polubownie i proponuje dać dziewczynie odszkodowanie i docho-dzenie umorzyć. Mam zdecydować.

— A dlaczego ja mam decydować? — oburzyłem się.

— Bo z twego powodu odmienia się dziewczynie los, od ciebie też zależy, aby jej nadal sprzyjał — perswadował mi pan Retif.

— Z punktu widzenia prawnego — wtrącił porucznik — istotny świadek to Marcel, ale mu za milczenie zapłacono. Sprawiedliwość też można sparaliżować, bo dziewczyna uniknęła najgorszego; niech więc Rosny zapłaci jej choć za swe przywary.

— Ile?

— Tyle, aby łatwiej zapomniała swą niedolę. Zobaczymy.

Dziwne to było spotkanie, ale przy szklance i tak bywa — łączą się ludzie ze sobą i stają się wyrozumiali. Pod koniec obiadu, gdy pot począł perlic czoła, Rosny wstał uroczyste, wyjął z portfela trzy różowe tysiączki i złożył je w ręce pana Retifa na wiano dla panny „Kasza”, a jego starszy brat dorzucił jeszcze tysiąc.

— Dobrze — szepnął mi do ucha porucznik.

Było to sporo, bo robotnica rolna — o ile pamiętam — zarabiała wtedy trochę więcej niż 4 franki dziennie.

Pieniądz ma swą cichą wymowę. Gdy więc Kasi doniosłem, jak sprawa stanęła, twarz jej się roz-pogodziła:

— A niech mu tam będzie — powiedziała.

Hm, dziedzic w Polsce za gorsze dawał na od-czepne przysłowiową krowę.

I wyszło jej na dobre, bo przybył do niej jej chłopiec, zabrał ze sobą, a w parę miesięcy później zaprosili mnie na wesele na fermę, którą dzierżawili w okolicach Angers. Byli szczęśliwi.

Ale wyszło na dobre i małżonkom Rosny. W jakiś czas po opowiedzianych wydarzeniach przyjechał on w niedzielę bryczką, zaprosił pana Retifa i mnie na obiad do siebie. W miejscu, gdzie strzelił do mnie, sumitował się, że fuzja sama wypaliła, gdy upadł w kałuże. Ale czekała mnie inna niespodzianka. Przed bramą fermy stał Paweł obok madame Rosny i kiwał ręką na nasze przywitanie: Rosny przyjął go do pracy na swojej fermie.

Od dziecka lubiłem obserwować ptaki i dziś jeszcze, mimo lat, orientuję się czy ptak śpieszy do gniazda, czy za pożywieniem, czy też sobie bawi-tuje. Czasem dotyczy to i ludzi. Wtedy, po obie-dzie i obejrzeniu gospodarstwa, gdy pan Retif już wsiadał do bryczki, podszedłem do Pawła, u-ściskałem mu na pożegnanie rękę i szepnąłem, jak Kasia mnie przed dwoma miesiącami: — Ostrożnie, ostrożnie!

Opuścił oczy, po czym spojrział na madame Rosny, która uśmiechała się do nas przyjaźnie.

W dni targowe od czasu do czasu widywałem Rosny'ego i jego żonę. Kiedyś wpadł do mnie jak bomba:

— Wiktor! Już nie będę zazdrościł krowom ciele-t, kobylom żrebaków, ani całemu światu dzieci. Anette Rosny będzie matką!

Gdy nią została, przeniosłem się już do Lille, a Paweł wyjechał do brata w Lotaryngii, ale pan Retif napisał mi o tym dowcipnie, że brunet i szatynka spłodzili blondynka o niebieskich oczach... Pawła. A później jeszcze, że co rok u Rosny'ch nowy prorok... i tak w ciągu lat czterech!

Przysłowia są ponoć mądrością narodów, więc na zakończenie niech mi będzie wolno powtórzyć: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło!”

Następny odcinek wspomnień emigranta dotyczyć będzie spotkań autora z synami wielkiego poety Adama Mickiewicza — Władysławem i Józefem

PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème

Tél. 824-42-02 Métro; Chaussée d'Antin

BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.
- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

List z Chicago

BOLESNY DRAMAT

W „NARODZIE POLSKIM”, organie Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w USA, ukazał się niedawno artykuł redakcyjny, który stwierdza, że niemal we wszystkich diecezjach katolickich w Stanach Zjednoczonych, szczególnie w środkowych Stanach, zamyka się stopniowo, ale w dość dużej ilości polskie szkoły parafialne.

Redaktorzy pism polonijnych zastanawiają się nad przyczynami tego dramatu. Istotnie, inaczej tego nazwać nie można jak dramatem. „Na naszych bowiem oczach rozgrywa się dramat bolesny, którego koniec może być tragiczny” — wywodzi dalej „Naród Polski”.

Z powyższych słów łatwo się zorientować, że chodzi tu o głęboki kryzys, jaki przeżywają obecnie parafie największego zagranicznego zbiorowiska polonijnego w świecie, jakim jest Polonia amerykańska.

Jedną z przyczyn tego kryzysu jest znaczna zmiana charakteru Polonii, składającej się obecnie w większości z drugiej, trzeciej lub czwartej generacji urodzonej już w Stanach Zjednoczonych. Pewna, i to poważna, część tych młodych pokoleń polonijnych zintegrowała się całkowicie ze społeczeństwem amerykańskim, zrywając wszelkie więzy z polskością, językiem, tradycjami, kulturą. Na domiar złego w miastach amerykańskich następuje stopniowa likwidacja skupisk polonijnej społeczności, zwanych niesłusznie „polskimi gettami”. Wynikiem tych zjawisk jest zrywanie lub osłabianie więzi młodzieży polonijnej z polskimi parafiami, które powstały i rozbudowywały się właśnie w owych dzielnicach polonijnych. Działają ponadto jeszcze inne czynniki, którym należy na przyspieszeniu procesu osłabiania polskich parafii, aż do ich pełnej likwidacji.

Zwraca na to uwagę amerykańska prasa polonijna, która informuje, że z wielu polskich szkół parafialnych znikł już język polski, i że w kościołach wygłaszane są coraz częściej kazania po angielsku. Usuwają się też księży polskich z parafii o większości polskiej, zastępując ich duchownymi innych narodowości, którzy nabożeństwa, praktyki religijne i rozmowy z parafianami prowadzą już tylko po angielsku.

Wszystkie te posunięcia wynikają z decyzji najwyższej hierarchii kościelnej w USA, która od paru lat realizuje konsekwentnie politykę likwidacji polskich parafii i polskich szkół parafialnych.

DECYZJA AMERYKAŃSKICH BISKUPÓW

Gdy po drugim Soborze Watykańskim wprowadzono we wszystkich kościołach katolickich na całym świecie języki narodowe jako język liturgiczny, Polonia amerykańska spodziewała się, że decyzja ta powstrzyma politykę dyskryminacyjną w stosunku do parafii polskich. Niestety, były to nadzieje złudne.

Jak grom z jasnego nieba uderzyła później Polonię wiadomość, że 11 kwietnia 1967 r. Krajowa Konferencja Biskupów Katolickich podjęła uchwałę apelującą do papieża, aby udzielił pozwolenia na likwidację parafii etnicznych, to znaczy również i parafii polskich. Uchwała ta wywołała duże oburzenie wśród całej Polonii amerykańskiej. Zaprotestowała przeciw niej prasa polonijna począwszy od lewicowego „Głosu Ludowego” poprzez „Gwiazdę Polarną” i skończywszy na prawicowym „Nowym Świecie”.

„Raz zagrożone przez Konferencję Biskupów parafie etniczne — brzmiały słowa protestu — będą ze wszystkich stron atakowane, aż zmęczone przestaną stawiać opór i zginą. Obowiązkiem każdego polskiego katolika w USA jest przeciwstawić się temu stanowczo... Za ciężko wypracowane pieniądze przez Polaków zostały zbudowane polskie kościoły, a więc niech pozostaną przy Polakach, zgodnie z tym, co nakazał Chrystus: „Oddajcie co cesarskie cesarzowi”.

W „Głosie Ludowym” czytaliśmy w tej sprawie:

„Przed kilkoma laty rozpoczęliśmy alarmować Polonię o wielce niepokojącym zjawisku w życiu polonijnym, a mianowicie, o systematycznym rugowaniu języka pol-

CZESŁAW JANTA

skiego i wszystkiego co polskie ze szkół parafialnych, założonych i utrzymywanych przez Polaków. Widzieliśmy to jako jeden z czynników tak zwanej asymilacji narodu amerykańskiego, czyli likwidacji grup etnicznych, a szczególnie Polonii... Niepokoiło nas szczególnie to, że zorganizowana Polonia... była zupełnie nieczynna w tej ważnej dla niej sprawie. Ostatnio obserwujemy wielkie zaniedbanie i pewne poruszenie wśród rzesz polonijnych. Polonia zaczyna zdawać sobie sprawę, że nie tylko usuwa się ze szkół parafialnych język polski, lecz zamyka się także szkoły i przywłaszcza te szkoły, które Polacy zbudowali tak ciężkim wysiłkiem”.

Nowojorski „Nowy Świat” zaznaczył, że przywódca kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych, będący w większości pochodzenia niemieckiego lub irlandzkiego, „mają własne cele na oku, sprzyjając raczej mniejszościom, z których sami pochodzą”.

„Obcy wyższy kler, pochodzenia irlandzkiego czy niemieckiego, zabiera fundusze zgromadzone wycieńczającą pracą i krwawym potem członków Polonii w ciągu wiekowych przeszło wysiłków dla zżycia ich na swoje obce, jeśli nie wprost urogie polskim interesom cele” — pisał „Nowy Świat”.

Rada Księży dla Spraw Polskich, na czele której stoi ks. Józef Kubiak, wystosowała memoriał do przewodniczącego Konferencji Biskupów Amerykańskich w USA w sprawie zagrożenia parafii polskiej.

MEMORIAŁ DO PAPIEŻA

Również Kongres Polonii Amerykańskiej wystosował z datą 18 sierpnia 1968 r. obszerny memoriał do papieża Pawła VI. W memoriale tym Kongres zwrócił uwagę, że mimo różnych wyjąśnień udzielanych przez katolicką hierarchię kościelną Polonia obawia się, że „etniczna identyczność jej parafii, szkół i instytucji, które zbudowała tak dużym wysiłkiem, zostanie zniszczona przez jednostronne posunięcia”.

Memoriał stwierdza z zalem, że amerykańska hierarchia katolicka odnosiła się obojętnie do przymusowej asymilacji etnicznych grup i mniejszości, po czym przytacza szereg faktów, z których wynika, że w latach 1943—1950 zlikwidowano naukę języka polskiego w wielu szkołach parafialnych w Stanach Zjednoczonych, że nie wprowadzono w 100 parafiach polskich języka polskiego do nabożeństw, że nie mianowano księży nadających się do kierowania etnicznymi parafiami, że nie stworzono odpowiedniej ilości seminariów do kształcenia księży, którzy obsługiwaliby parafie etniczne, że nie zezwolano na przeprowadzenie zbiórki pieniędzy na seminaria etniczne, że nie przyznawano stanowisk kościelnych księżom etnicznym i że zabraniano śpiewać pewne tradycyjne hymny.

ZAGROŻONY DOROBEK

Memoriał Kongresu Polonii zwraca uwagę, że Polonia stworzyła w Stanach Zjednoczonych 1000 parafii, 533 szkoły parafialne, 83 szkoły średnie, 20 szpitali, 11 seminariów. Wszystko to jest obecnie zagrożone.

W konkluzji Polonia prosi Papieża o odrzucenie uchwały Konferencji Biskupów Amerykańskich o likwidacji parafii etnicznych i podjęcie środków w kierunku ożywienia ich. Szczególnie ważne jest nauczanie języków narodowych w szkołach parafialnych, stworzonych przez grupy etniczne.

Do dziś dnia Kongres Polonii nie otrzymał odpowiedzi z Watykanu. W międzyczasie proces likwidacji szkół parafialnych postępuje naprzód. W samym Detroit zamknięto z polecenia kardynała Deardena 17 polskich szkół parafialnych, a pozostałym również grozi likwidacja.

Na posiedzeniu Kongresu Polonii w Detroit ks. Borkowicz stwierdził, że usiłuje się zmusić Polonię do zamknięcia szkół parafialnych... „Polonia musi się ocknąć, bo chca nas zarżnąć” — powiedział ks. Borkowicz, jeden z najstarszych księży polskich w Detroit.

Centrala Organizacji Polonijnych w Pittsburgu uchwaliła rezolucję, wyrażającą niezadowolenie z zamknięcia polskiej szkoły parafialnej w New Castle, Pa. Ks. Kazimierz Lewandowski, proboszcz parafii, stwierdził, że przyczyną likwidacji nie jest ani brak uczniów, ani środków finansowych: „Tu chodzi po prostu o to, że się chce likwidować polskie szkoły parafialne”.

Tygodnik „Straż” podał wiadomość, że do akcji protestacyjnej włączają się obecnie w coraz większym zakresie księża polscy, którzy wzywają świeckich katolików do wysyłania protestów do władz kościelnych. Niektórzy proboszczowie w dalszym ciągu prowadzą naukę języka polskiego i wcale się z tym nie kryją, że dzieje się to wbrew naciskowi przełożonych władz kościelnych.

PROWOKACYJNY ŚPIEWNIK

A co czynią władze kościelne?

Archidiecezja detroicka wydała książkę zawierającą różne pieśni mszalne. Na 115 hymnów i pieśni aż 38 jest pochodzenia niemieckiego, nie ma zaś ani jednej pieśni polskiej. Dobbór zaś pieśni niemieckich jest taki, że pochodzą one z polskiego Śląska, m. in. z Wrocławia oraz z Pomorza. W zbiorze tym znajduje się kilka pieśni mszalnych, których autorem jest H. Hoffman von Fellersben, twórca szowinistycznego hymnu niemieckiego „Deutschland, Deutschland über alles”. Wszystko to wywołało duże oburzenie amerykańskiej Polonii.

„Jest to nie do przyjęcia nie tylko przez katolików Polaków, lecz w ogóle przez wszystkich ludzi potępiających arogancję i butę przedwojennych Niemiec” — pisał w tej sprawie czytelnik detroickiego „Dziennika Polskiego” F. Gawryluk.

Godnym uwagi jest fakt, że kardynał Dearden w Detroit, który zamknął prawie wszystkie polskie szkoły parafialne, polecił wprowadzić do programu szkolnego historię Amerykanów pochodzenia hiszpańskiego do 600 szkół katolickich. Do szkół tych uczęszcza około 5000 uczniów pochodzenia hiszpańskiego, natomiast uczniów pochodzenia polskiego jest około 50 tysięcy. Tych ostatnich nikt nie uczy historii Polonii amerykańskiej, mającej przecież tak piękne karty w dziejach ogólnych Stanów Zjednoczonych. Cała Polonia występuje więc jednolicie przeciw groźbie likwidacji szkół parafialnych. „Naród Polski”, o którym wspominały na początku, podkreślił, że „po upadku szkół parafialnych zaczna upadać i nasze parafie. A wtedy będzie finał tragiczny”. Polonia nie chce dopuścić do tej tragedii. „Kościoły Polskie — racz nam zachować Panie” — modła się członkowie Polonii amerykańskiej.

TRZY TEORIE UCZONYCH

POWSTANIE KSIĘŻYCA

„Do każdej planety dodają za darmo taki balonik!” — powiedział dobry Pan Bóg do zgromadzonych aniołków i w ten sposób zostało wyczerpane zagadnienie powstania Księżyca. Tak przynajmniej sugeruje wybitny francuski rysownik Jean Effel, autor pełnego humoru cyklu rysunków pod tytułem „Stworzenie świata”. Dociekliwi uczeń nie zadowolili się jednak tym prostym wyjaśnieniem. Sformułowano już wiele naukowych hipotez powstania naturalnego satelity Ziemi, a trzy spośród nich są najlepiej uzasadnione i wciąż jeszcze uważane za równie prawdopodobne.

Najlepiej chyba podbudowana matematycznie jest teoria, która głosi, że Księżyc został przechwycony przez siły grawitacyjne Ziemi już jako w pełni ukształtowany obiekt przechodzący w pobliżu naszego globu. Pogląd taki spotyka się jednak z pewnymi zastrzeżeniami, dotyczącymi głównie katastrofalnych następstw zbliżenia się tak ogromnej masy — dokładne pomiary astronomiczne wykazały, że Księżyc, odległy od Ziemi średnio o 384 tysiące km, oddala się od naszej planety w tempie 3 cm na rok, co dowodzi, że w momencie przechwycenia znajdował się znacznie bliżej niż obecnie.

Drugie zastrzeżenie dotyczy czasu, w którym Ziemia „upolowała” swojego satelity. Autor matematycznej teorii przechwycenia Księżyca, Gerstenkorn, sądzi, że było to około 2 miliardów lat temu i spowodowało na Ziemi kataklizm, którego ślady powinny się zachować w głębokich warstwach geologicznych.

Jest bardzo prawdopodobne, że spowodowane siłami księżycowej grawitacji przyptywy i odpływy zarówno oceanów, jak i płynnego wnętrza Ziemi wyzwołyły ogromną ilość energii, wystarczającą, aby spowodować wyparowanie oceanów, a nawet stopienie skorupy ziemskiej.

Trwało to kilkaset lat, w czasie których gigantyczne, parujące fale przyptywów podnosiły się w ślad za Księżycem, okrążającym wówczas Ziemię w ciągu siedmiu godzin. Ziemska doba trwała wtedy 5 godzin, ale nie było wielkiej różnicy pomiędzy dniem a nocą, gdyż kłęby pary spowijające całą glob nie przepuszczały prawie wcale światła słonecznego. Sam Księżyc krążył wokół Ziemi w pobliżu tzw. granicy Roche'a, przekroczenie której spowodowałoby rozerwanie satelity wskutek ogromnych sił przyptywowych, wywołanych w jego wnętrzu przez Ziemię. Zgodnie z uproszczoną teorią przyptywów, fale na ziemskich oceanach musiałyby wówczas osiągnąć 6 km wysokości! Zaiste, apokaliptyczna jest wizja świata ogarniętego wiecznym mrokiem, w którym przewalają się tak gigantyczne góry wrzątku!

Jednak badania geologiczne, które pozwalają sięgać aż na trzy miliardy lat w przeszłość naszej planety, nie odkryły oczekiwanych śladów kataklizmu, towarzyszącego przechwyceniu Księżyca. Broniącej tej hipotezy, uczeni albo zakładają nieprawdziwość uproszczonej teorii przyptywów dla tak bliskiego sąsiedztwa dwóch ciał niebieskich, albo przyjmują, że początkowo krążyło wokół Ziemi kilka satelitów, które dopiero później połączyły się w jeden glob. Oba poglądy prowadzą do wniosku, że moment przechwycenia Księżyca był znacznie wcześniejszy, co tłumaczyłoby brak geologicznych śladów tego wydarzenia.

Druga wysuwana hipoteza mówi, że Ziemia i Księżyc powstały równocześnie — jako podwójna planeta, uformowana z jednego pierwotnego obłoku gazowego. Taki proces nie miałby wpływu na geologiczną prehistorię Ziemi, lecz za to wyłania się inny kłopot, związany z różnicą gęstości Księżyca i Ziemi. Wydawałoby się, że globy powstające z tego samego obłoku rozpalonych gazów powinny mieć bardzo podobne średnie gęstości swoich mas, a tymczasem różnią się one

aż o 40% na korzyść Ziemi. Niektórzy uczeni próbują wyjaśnić tę różnicę, zakładając, że Księżyc powstał z zewnętrznych, lżejszych warstw pierwotnego obłoku, którego ciężkie jądro wewnątrz stało się później jądrem Ziemi.

Zgodnie z trzecim poglądem, Księżyc powstał przez oderwanie się od naszej planety ogromnej porcji materii. Sądzi się, że w podobny sposób mogła też oderwać się od Ziemi planeta Mars, której masa jest dziewięć-

Dokończenie na str. 14



SPRAWY I LUDZIE • SPRAWY I LUDZIE • SPRAWY I LUDZIE • SPRAWY I LUDZIE • SPRAWY I LUDZIE

KRAKOWIAK Z BOSTONU

Krakowiaczy myśmy, z samego Bostonu i choć nie krajowi, nie brak nam fasonu. Krakowiaczy myśmy z Bostonu samego i witamy państwa z serca otwartego. A jak my urzędnicy krakowiaka z nogi pójdą wiechcie z butów, a drzazgi z podłogi.

Ten popisowy taniec, tzw. „theme song” zjednał zespołowi „Kra-kowia-ka” z Bostonu sympatie Polaków w USA już przed wielu laty. „Kra-kowia-ka” to najstarszy zespół pieśni i tańca wśród wszystkich polonijnych „konkuren-tów” zza Oceanu i Euro-py. Powstał w 1937 r. — liczy już więc 32 lata trudnej, lecz jakże owocnej pracy, którą najlepiej zna-ją oczywiście najstar-si członkowie zespołu — cała rodzina państwa Pier-ce czyli Pieszczynskich. Jest ich w zespole aż sześć-cioro. Jak na główę ro-dziny przystało — p. Leonard Pierce jest też kie-rownikiem zespołu, a cho-reografem jest p. Ada Dziewanowska.

Państwo Pierce długo za-stanawiali się, czy w całym komplecie wyjechać do Pol-ski na I Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Arty-stycznych; inni przeżywali to samo, musieli bowiem wszys-cy ponieść niemałe koszty „z własnej kieszeni”. W sumie z 40-osobowego zespołu wyje-chano do Europy wprawdzie tylko 16 osób, ale odnieśli sukces nie lada, zdobywając nagrodę, która stanowi ukor-onowanie ich wysiłków i na-kladów.

W ciągu 32 lat działalności artystycznej „Kra-kowia-ka” dał setki przedstawień i pokazów taneczno-wokalnych. Z roku na rok rozwijał się, nakładem własnych wysiłków i składek współrodaków, dorobił się własnych strojów ludowych. A ponieważ w zespole jest o-prócz Polaków kilku Amery-kanów, sympatyków polskiej kultury — do repertuaru wprowadzono także narodowe tańce ziemi, na której zespół powstał.

Tak więc posiada „Kra-kowia-ka” repertuar odmien-ny nieco od innych zespo-łów polonijnych, pielęgnuj-ąc m. in. tańce kowbojskie i inne związane z folklorem amerykańskim. O-ryginalność jego polega także na przygotowywaniu okolicznościowych wido-wisk artystycznych, w któ-



rych eksponowane są tra-dycje wsi polskiej, jej folklor i cechy charaktery-styczne różnych regionów polskich. I tak na czoło wysuwają się takie wido-wiska jak „Dożynki” czy w okresie Bożego Narodzenia inscenizacja „Kolejnicy” oraz takie jak „Umarł Maciek, umarł”, „Wesele u Bartka” lub „Góralu czy ci nie żal”.

„Kra-kowia-ka” znany jest szeroko w licznych skupis-kach Polonii amerykańskiej w stanach New York, Rhode Island, New Hamp-shire czy Pensylwania, a nie lada sukcesem były jego występy na Wysta-wie Światowej w Nowym Jorku.

POLKA z GRENOBLE DZIAŁAJĄCA W KANADZIE

Irena MARYNOWICZ z Hamilton (Ontario) w Kanadzie od pierwszego wej-rodzenia budzi sympatię. Drobniotka, o pełnych wy-razu oczach i delikatnych dłoniach, jest osobką ener-giczną. Można by sądzić, że trzy jej ojczyzny: Pol-ska (po rodzicach), Fran-cja (urodziła się w Greno-ble), Kanada (z obywatel-stwa) — wyposażyły tę dziewczynę w najbardziej cenne cechy psychiczne: pracowitość, umiejętność pokonywania trudności, wdzięk, poczucie humoru, umiowanie młodzieży i pracy społecznej, zdolności taneczne.

Co mówi pani Irena o sobie?

— Ukończyłam seminarium nauczycielskie w Hamilton. Uczę najmłodsze klasy w szkole podstawowej. Kiedy sama byłam uczennicą, nale-żałam do zespołu „Małe Ma-zowsze”. Polskich zespołów folklorystycznych jest w Kanadzie bardzo dużo. Niektóre, jak np. „Góral”, „Biały Orzeł” czy „Polonez” mogłyby chyba stanąć w szranki z zespołami z Kraju.

Ale nasz zespół, niestety, rozpadł się przed trzema laty. Wtedy zebrało się kilkoro z młodzieży i postanowiliśmy na miejsce starej, zorganizo-wać nową grupę taneczną. Tak powstał „Polonez”. To, że mogłam to zorganizować i uczyć młodzież tańca, za-wdzięczałam instruktorowi, któ-ry prowadził poprzedni zespół, panu Krasek. On to wpoił mi zamiłowanie do działalności organizacyjnej wśród Polonii, nauczył tańczyć i uczyć tańca. Jak wszyscy młodzi mamy wielkie ambicje. Więc w naszym zespole jest grupa ma-łych dzieci. Już czterolatki ćwiczą i tańczą z takim wdziękiem, że za kilka lat będziemy mieli się czym pochwalić.

W Kraju byłam ostatnio w ogóle po raz pierwszy. Opowiadali mi o nim rod-zice, a ja słuchałam, ale kiedy wróce z wakacji — oni będą słuchali. Zazdroścę młodzieży polonijnej, która w tym roku uczyła się polskich pieśni i tań-ców. Zazdroścę im pięk-nych chwil na spotkaniu polonijnych zespołów folklorystycznych, zorganizo-wanym w XXV-lecie PRL. Żałuję, że nie mogłam być z nimi. (h)



JOANNA GAJDA — MISS POLONII KANADYJSKIEJ

Panią Joannę spotkał przedstawiciel „Tygodni-ka”, gdy przygotowywała się do odwiedzenia babci mieszkającej pod Opolem i zadał jej kilka pytań.

Pyt.: Jak odbywają się wy-bory Miss Polonii w Kana-dzie?

J. G.: To wcale nie takie proste dla pretendente-k do tytułu. Bo kandydatki wyty-powane przez rodzime Koło Związku Polaków w Kanadzie, po uzyskaniu niezbędnego minimum głosów czytelników pisma Związku, muszą przejść przez szereg egzaminów. De-cyduje więc nie tylko uroda ale i znajomość literatury i kultury polskiej, umiejętność znalezienia się w każdej sy-tuacji, a także sposób ubie-rania się.

Pyt.: Co dla pani było naj-trudniejsze?

J. G.: Omal nie „przepad-łam”, kiedy zapytano mnie o twórczość Józefa Conrada-Korzeniowskiego. Zupełna pustka w głowie. Ale kiedy zdumiony mój nieuczestnik egzaminator — chyba był to Kanadyjczyk — bo komisja egzaminacyjna jest mieszana, polsko-kanadyjska — wymie-nił tytuły jego dzieł, zaczęłam omawiać twórczość wielkiego pisarza.

Pyt.: A pani rywalki? J. G.: O, to wspaniałe dzie-czynny, lecz jeszcze bardzo młodzieńkie. A ja przecież jestem już kobietą... I 22-letnia kobieta opowiada

o tym, jak serdecznie zaprzy-jaźniła się ze swą najgroź-niejszą rywalką. Dalej opi-wieść o wrażeniach z Polski.

— Mama wciąż opowiadała mi o Polsce, a teraz ja będę mogła jej powiedzieć, jak wy-głada Kraj. Byłam w Łowicz-u na procesji. Robiłam kolorowe zdjęcia; żeby tylko dobrze wyszły te piękne ko-stiumy. Tłok był, że trudno fotografować.

Pyt.: Jak wygląda pani ży-cie w Kanadzie?

J. G.: Jestem tłumaczką w sądzie. Gdy jedna ze stron nie zna angielskiego, wystę-puję w jej imieniu. Czasem bywa to wręcz komiczne. Mo-żna by nakręcić komedię fil-mową, gdyż tłumacząc z pol-skiego lub francuskiego muszę występować w roli zaintereso-wanego. Np. relacjonując wy-padek uliczny mówię w imie-niu pani X: Szłam ulicą, kie-dy nadjechał pan Smith i u-derzył mnie błotnikiem samo-chodu w kolano. I tu, jeśli pani X złapała się za kolano, gdy brak jej siły i wykonuje w zdenerwowaniu jakieś dziwne gesty, muszę je wszy-stkie dokładnie powtórzyć. Ła-two sobie wyobrazić, co się dzieje, gdy przed sądem sta-ją dwie kumoszki nie zna-jące angielskiego i dwie tłumaczki. Gdy wyrażamy so-bie przed wysokim sądem, trudno nam czasem powstrzy-mać śmiech...

Pyt.: Czy zamierza pani zo-stać przy tym zawodzie?

J. G.: Moim marzeniem jest młodym. A to wymaga sześciu lat studiów. (h)

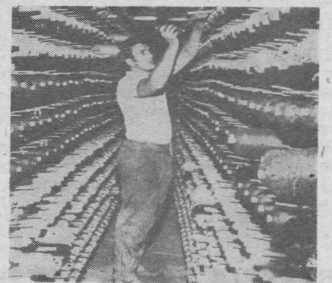


O takich dziewczynach zwykło się mawiać — smu-klia jak topola. Lub — królewska uroda. Joanna GAJDA ma lat 22, pochodzi z Kanady (Toronto) i w tym roku zdobyła tytuł Miss Polonii. Nagrodę sta-nowił trzytygodniowy po-byt w Polsce.

PERSKIE DYWANY z... POLSKI

Oczywiście nie jest to pierw-szoplanowa, decydująca o go-spodarce Kraju produkcja, ale jednak... Turysta zagraniczny, kupujący na pamiątkę fez „turecki” na jednym ze „tucznych bazarów, nie wie zapewne, iż przystroił swą głowę wyrobem z sierści po-ciecznego, polskiego królika, pochodzącym z fabryki kape-luszy w Bielsku-Białej, od dziesiątków lat stanowiącej główne źródło zaopatrzenia w fezy dla krajów muzułmań-skich Północnej Afryki i Blis-kiego Wschodu. Tak samo, je-śli kupi gdzieś „oryginalny” perski dywan za tanie pienią-dze, jest duża szansa, iż dum-nie rozłoży na podłodze coś z wyrobów fabryki w Kowa-rach na Dolnym Śląsku, wy-szczepionej w dywanach wzoru perskiego, które zaku-puje między innymi... Iran, a także wzoru francuskiego.

Kraj robi transakcję stupro-centowo uczciwą, na kowar-skich a także łódzkich dywa-nach nie figurują żadne fałszy-we napisy sugerujące, iż są to ręczne i oryginalne wy-roby wschodnie. Wręcz prze-ciwnie, metryczki fabryczne wyraźnie podają „Kowary” albo „Fabryka Plusz i Dywa-nów im. Tadeusza Ajzena w Ło-dzi”. No, a za to, że nieucz-ciwi handlarze wykorzystują doskonałość surowca, barwy i wzory polskich fabryk, Kraj nie może odpowiadać... Są tu natomiast inne zagadnienia. Obie fabryki są stare, używa-ły dotychczas mocno wyeks-ploatowanych maszyn. Moder-nizacja, co do której rachunek ekonomiczny wykazuje iż jest kilkakrotnie tańsza (i to w wielu gałęziach przemysłu) od budowy nowych zakładów,



stała się absolutnie konieczna. W Łodzi prace nad unowo-żeniem fabryki zaczęły się w roku 1966, zostaną za-kończone za dwa lata. Zakład otrzymał nowe krosna dywa-nowe typu „Wilson” (na zdje-ciu) z NRD, oraz belgijskie krosna do wyrobu tkanin o-biciowych do mebli, a także krajowe maszyny farbierskie. Fabryka łódzka eksportuje swe wyroby do wielu krajów. Sama Skandynawia zakupuje 40% produkcji. Łódzkie dy-wany i tkaniny dekoracyjne mają też szerokie zastosowa-nie w Kraju — można je o-bejrzeć w budynkach takich, jak oba Teatry Wielkie (Ope-ry) w Warszawie i Łodzi, re-prezentacyjne nowoczesne ho-tele „Orbis” i „Cracovia” w Krakowie i „Merkury” w Poznaniu, stację „Stefan Bato-ry”, gmach Urzędu Rady Mi-nistrów w Warszawie i wielu ambasad zagranicznych w Warszawie i polskich za gra-nicą. (j)

O PIERWSZEJ „TRÓJCE” Z SOMAIN



Rodzina Srogów z Czeladzi na Śląsku, jak tysiące innych polskich emigrantów, znalazła się we Francji w 1925 r. Naj-młodszy syn — Henryk miał

wówczas rok. Wszyscy za-mieszkałi w Somain (Nord), gdzie ojciec podjął pracę w pobliskiej kopalni jako gór-nik. Henryk tymczasem cho-dził do szkoły, a jego starszy brat mając 13 lat zaczął pra-cować w kopalni. Henryk tymczasem uczęszczał do gór-niczej szkoły technicznej w Vuillemin, która ukończył jako prymus w 1942 r.

W Somain mieszkał wów-czas Włoch z pochodzenia, popularny i lubiany przez mieszkańców Mino, b. ucze-szczelnik brygady międzynarodowej w Hiszpanii. On to w 1942 r. zaproponował Henrykowi wstąpienie do partyzantki. Miał zorganizować pierwszą „trójkę”. Składała się ona z dwóch Polaków i jednego Serba. Każdy z nich tworzył następne trójki. Głównym za-daniem „trójek” było na razie zaopatrzenie się w broń. W

tym celu Henryk skontakt-o-wany został przez Mino z Jó-zefem Szymczakiem z Dechy, który miał dwa pistolety.

Pierwszą akcją „trójki” było wykołowanie pociągu; przerwana została przez to dostawa węgla z pobliskich kopalni. Następne akcje miały miejsce w Douai, w Dechy na lotnisku wojskowym od stro-ny Cambrai, gdzie była wy-rzutnia V-1.

— W 1944 r. mieliśmy już 27 osób pracujących w kon-spiracji — opowiada p. Hen-ryk Sroga. — Jednym z cie-kawszych momentów było dla mnie rozbrojenie żołnierza niemieckiego, o którym mia-łem pewne dane, że skłonny jest przejść na naszą stronę. Rozbroilem go, przebrałem, dałem fałszywe dokumenty i przeszarwowałem go do ja-snego w okolicy Charleville koło Metz'u.

Tuż przed zakończeniem wojny, chyba w sierpniu 1944 r., udało się nam wziąć do niewoli pięciu Niemców oraz zabrać ich ładunek bro-ni. Zamknęliśmy ich w piwni-cy aż do wyzwolenia przez wojska amerykańskie.

Po wyzwoleniu Henryk Sro-ga był jednym z organizato-rów koszar w Guesnain, dzia-łał społecznie, m. in. był se-kretarzem organizacji młodzie-

żowej „Grunwald”, prowadzącej wtedy zaciąg do Polski. Po przedostaniu się do Pol-ski zamieszkał na Śląsku, do-kład w ślad za synem wró-cił także jego rodzice. We Francji pozostał tylko jego starszy brat — Kazimierz, górnik, który ożenił się z Francuzką, założył własną polsko-francuską rodzinę.

Nasza młodzież na koloniach w Kraju



Oto jeden z bardziej uroczystych momentów życia kolonistów w Łodzi: odwiedziny konsula Francji w Polsce. Jak widać, zarówno znakomity gość, jak i mali gospodarze „po wymianie poglądów” są w pogodnym nastroju

BYŁA to istna wieża Babel. Młodzież polonijna z Francji, Belgii, Szwajcarii i NRF oraz dzieci z Kraju. Razem gromada o zadziwiającej energii, żadna wrażeń i bardzo wesoła. Każda grupa kolonijna jest zawsze jakąś zbiorową indywidualnością, ale ta — złożona z przybyszów z kilku stron Europy — była mieszańką, co się zowie „wyborową”.

Spotkali się w Łodzi, mieście przemysłowym, ośrodku o wciąż jeszcze niezbyt urodziwym śródmieściu, otoczonym jednak po wojnie wieńcem wesołych, nowoczesnych osiedli mieszkaniowych. Właśnie za jednym z nich, za lasem, w parku mieszkała polonijna młodzież. Tu, w pobliżu pachnących łąk i stawów obramowanych drzewami był jej dom. Wracali do niego po trudach wędrówek krajoznawczych po Kraju. A zwiedziły go z krańca w kraniec. Od Tatr po morze. Zdrożone, zmęczone wrażeniami, w zielonej oazie

Być nad Bałtykiem i nie wypłuskać się w jego falach, gdy pogoda fantastyczna? Bernadette Strużyńska i Marie Zielńska chwaliły sobie kąpiel i miętutki piasek na polskiej plaży



SKĄD SIĘ WZIĘŁA SÓL?

parku regenerowały się z chwilowego znużenia, szybko i niecierpliwie czekały na nowe atrakcje, choć zdawałoby się, że było ich dużo.

Nie tracić ani chwili!

Ciągle w ruchu. Chwila spoczynku to chwila bezpowrotnie stracona. Ledwie się zerwały z łóżek, nim pobiegiły do łazienki, już targi o prawo pierwszeństwa do stołu pingpongowego. „Bang-bang, bang-bang” — godzinami pukały piłeczki o stół. Mistrzem tenisa stołowego był Henryk PIECHOTA. Grał bardzo efektywnie. Nic dziwnego. W Belgii należy do klubu pingpongistów. Wychowawcy łagodili sprzeczkę o kolejność rozgrywek, usiłowali nawet poskramiać tę namietność, ale kiedy milkło uprzykrzone „bang-bang”, czuli się jakby niespokojni... Chłopcy tymczasem jeden po drugim wracali z miasta z zadowolonymi minami. Z szeleszczących papierów wydobywali — kupione rakiетки. I wtedy okazało się, że tę samą namietność do celuloidowej piłeczki żywił... sam kierownik kolonii, pan Kazimierz Kassyk. I oto na kolonii odbył się wielki turniej ping-ponga. Chłopcy z zadowoleniem stwierdzili: ręka kierownika zdradza dawnego mistrza...

Wszystko zbadać samemu

Wieliczka. Sławna, zaliczana przez przewodniki całego świata do turystycznych cudów — kopalnia soli. Wyekspluatawana, dziś już tylko słynne muzeum. Im niżej schodzi się w głąb, tym było chłodniej. Ściany szybko pokryte wilgocią. Poprzez długie, skrzące się kryształkami soli korytarze i grotty dzieci dotarły do ogromnej, wysokiej, aż oczom trudno dać wiarę, sali. Wszystko z soli: ściany, świeczniki, rzeźby. Chłopcy nie wierzyli. Lizali, co się dało — sól! W głębi kopalni poczta dla turystów. Wysyłali pozdrowienia. A kiedy lizali znaczki pocztowe, byli wyraźnie zawiedzeni — jak to, nie sól? Był i taki sumienny badacz, który sprawdzał, czy ściany kiosków z pamiątkami też są z soli. O prozaiczna techniko! — były ze sztucznych tworzyw.

Chłonać wszystko wszystkimi zmysłami

Nad morzem wysuwali języki, by smakować, jak słone są rozbrzygni morskich fal. Tak, dzięki tej próbie uwierzyli, że sól Wieliczki powstała z morskich wód. Ile dźwięków! Morze szumi, krzyczą mewy, a kiedy umiejętnie suwa się stopami, miarki

piach plaży cieniutko śpiewa. Skórę plaży słońce, chłodzi jedwabista woda, suszy łagodny wiatr. Ale najprzyjemniej jest, kiedy fale ni to dają klapsa, ni to gładzą pięszcziotliwie. Bernadette STRUŻYŃSKA i Marie ZIELŃSKA skapały się po czubki głów. Nie tylko one. Trudno wychowawcom wywabić dzieci z wody, a najtrudniej chyba małych Szwajcarów. Wychowani wśród gór, w jednej chwili żywiołowo pokochali morze.

Walczyć!

Instynkt walki znalazł swe ujście na boiskach sportowych. Nic dziwnego — jeden z wychowawców kolonii był nauczycielem wychowania fizycznego. Rozegrano więc szereg meczów w najróżniejszych dyscyplinach. A kolonijna drużyna piłki nożnej stoczyła bohaterski mecz z juniorami CWKS-Łódź, ulegając wprawdzie, ale w sposób honorowy — dobrej drużynie łodzian, w stosunku 3:2. Bramki dla kolonii strzelili: Bogdan GÓRAL z NRF oraz Michał PRZEWROCKI ze Szwajcarii. Następnego dnia, 6 sierpnia, był Dniem Sportu. Uczestnicy kolonii rozegrali zawody na najprawdziwszym stadionie. Jak zacięte były walki, niech świadczy fakt, że gdy z podpórek wystartowały dziewczęta, stopery odnotowały identyczny czas dla trzech zwycięzczyń dystansu 60 m: Fabienne DEVAUX (Szwajcarija), Zosi MIKULEWICZ (Francja) i Róży KUCHARSKIEJ (Polska).

Płatać psie figle!

Było ich bez liku! Ale do największych rozkoszy należało staranne wysmarowanie twarzy śpiących przyjaciół wszelkimi możliwymi paskudztwami, jako to pasta do zębów, przeróżne kremy kosmetyczne i szminki. Łatwo pojąć, jak wyczerpujący musiał być program dnia, skoro te zabiegi nie przerywały kamiennego snu delikwenta. Jeśli jednak się obudził — rozpoczynała się natychmiast w całej sypialni groźna wojna na poduszki...

Dzielić się radością

Dzieci pisały moc listów. W Wieliczce urzędniczka poczty mieszczącej się w głębi kopalni ujrzała piramidę korespondencji, która miała przejść przez jej ręce, z uroczym uśmiechem wręczyła kierownikowi kolonii stempelek, by pomógł jej oznaczyć każdą z kartek pamiątkową pieczętką. Młodzież też otrzymywała sporo listów. Rekordzistką była Renata MIĘDZIK z Francji. Rodzice przesyłali jej niemal co dnia bodaj kartkę z kilkoma słowami pozdrowień. Zawsze po polsku...

Śpiewać i grać!

Axel Büttner z NRF miał tylko 12 lat, ale jakim repertuarem rozporządzał. Akompaniując sobie na gitarze, równie pięknie interpretował Bacha, jak i piosenki beatowe. A z dziewcząt z Francji najpiękniej chyba śpiewały — i to na dwa głosy — Margaret SKORCZAK i Michèle STASZCZYK. One lubiły przede wszystkim smętne ballady i piosenki o miłości...

Mówić po polsku!

Oto plejada gwiazd: Freddy PAK, Henryk PIECHOTA, Genek KSANOWSKI, Gabrych VAN VAYENBERLE, Henryk MARCINKOWSKI, Benny VALKAERT, Edward DEBINSKI — to chłopcy, którzy nie tylko umieli mówić po polsku, ale pobyt w Kraju wykorzystywali, by pogłębić znajomość tego języka. Wszyscy z Belgii! Brawo! Krzywdą dla pozostałych byłoby twierdzić, że tylko oni. Ale faktem jest, że w znajomości polskiego celowali właśnie chłopcy z Belgii. Mały, jeden z najmłodszych, Freddy QUESNES był pierwszy raz w Kraju; mówił, że kiedy dorośnie, przyjedzie na znacznie dłużej...

☆

Czyż nie trzeba było pecha, żeby właśnie w czasie takich wakacji, kiedy tyle ciekawych rzeczy działo się każdego dnia — zachorować? I to tak, żeby zamiast z wycieczką na Wybrzeże — pojechać do szpitala? Taka właśnie zła przygoda spotkała śpiewającą Michèle. I czyż nie trzeba było szczęścia, że w Łodzi jest szpital im. Ludwika Pasteura, powstały po rozbudowie dawnego szpitala pod wezwaniem

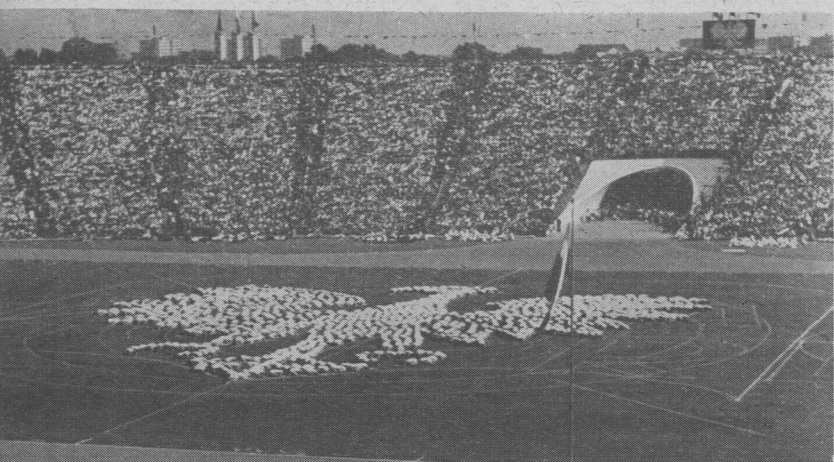


Długi Targ w Gdańsku i jego historyczne kamieniczki podobały się bardzo. Większość pamiątek zakupiono w sklepach tu właśnie zlokalizowanych

św. Rodziny. A w nim pracują siostry, których zakon wywodzi się z Francji. Michèle ucieszyła się, że może mówić wyłącznie po francusku. Pod znakomita i troskliwą opieką personelu lekarskiego w mig zoperowano złośliwy wyrostek robaczkowy, a dziewczynka ani się spostrzegła, kiedy właśnie w szpitalu zaczęła rozmawiać niemal wyłącznie po polsku.

Była zbyt słaba, by wrócić do Francji ze wszystkimi dziećmi. Ale gdy lekarz zezwolił na podróż, zarezerwowano dla niej miejsce w samolocie i poleciała sama, jak dorosły globtrotter. Oto premia od losu za stracony wyrostek robaczkowy.

Halina SŁOMIŃSKA



● W 100-lecie firmy Blikle

Założycielem był Antoni Blikle. Jego syn miał na imię również Antoni. Obecnie na czele firmy stoi Jerzy Blikle, wnuk założyciela. Dokładnie firma istnieje od 11 września 1869 r. W lokalu przy Nowym Świecie odbyła się w związku z tym uroczystość jubileuszowa z udziałem wielu zaproszonych gości, znajomych, przyjaciół, a także wieloletnich statych klientów — i polskiej TV.



● Poszukiwanie skarbu w Warszawie

Chodzi o autentyczny skarb numizmatyczny, ukryty w 1939 r. przez kolekcjonera płk Jana Berka, zamieszkałego obecnie w Anglii. Przed niedawnym czasem napisał on do Muzeum Narodowego w Warszawie list, że w 1939 r. zakopał w swojej piwnicy autentyczny skarb, złożony z 3 tysięcy niezwykle wartościowych okazów numizmatycznych. Znajdowały się wśród nich monety greckie, rzymskie, denary Mieszka I, trojaki Zygmunta III, nie mówiąc o bardziej kompletnych

zbiorach monet z okresów późniejszych. Obok tego w piwnicy domu, w którym mieszkał, zakopał także ceną kolekcję starej broni myśliwskiej. Dom został najpierw zburzony w 1939, a potem do reszty spalony w 1944 r. Teren splantowano, piwnice zasypano, zakładając trawniki i park.

„Express Wieczorny”, który donosił o poszukiwaniach skarbu, nie podał miejsca, gdzie buldożery i saperzy (z przyrządami do wykrywania części metalowych) próbują odkopać skarb, aby ciekawscy nie gromadzili się wokół. Chwilowo znaleziono tylko zbiór wartościowej, starej broni myśliwskiej. Po monetach, jak dotąd, ani śladu. Znając nazwisko płk Jana Berka, zgłosili się dawni współmieszkańcy domu i pomogli w poszukiwaniach. Należy zaznaczyć, że płk Berk przeznaczył cały zbiór monet jako dar dla Muzeum Narodowego, prosząc tylko, by mógł zachować starą broń myśliwską.

● Teatr z Rzeszowa gościnnie we Lwowie

Po gościnnym udziale teatru lwowskiego w tegorocznych „Rzeszowskich spotkaniach teatralnych” — do Lwowa udał się zespół Teatru im. Wandy Siemaszkowej z Rzeszowa. Na scenie lwowskiej zespół wystawi „Hamleta” Szekspira oraz „Jadzię wdowę” Ruskowskiego. Spektakle odbywać się będą dwa razy dziennie, przy czym pierwsze przedstawienie „Hamleta” w wykonaniu rzeszowskiego zespołu będzie transmitowane przez lwowską telewizję.

● Na srebrne wesele Ojczyzny — piękne dożynki w Warszawie

Nad stadionem zapanowała cisza. Rozległy się dźwięki hymnu narodowego, a w chwilę później tradycyjna, chłopiska pieśń bojowa „Gdy naród do boju...”. Uroczystość otworzył prezes Centralnego Związku Kółek Rolniczych Franciszek Gesing, który powitał Gospodarza Dożynek — Władysława Gomulkę, przewodniczącego Rady Państwa Mariana Spychalskiego i premiera Józefa Cyrankiewicza, przywódców ruchu ludowego oraz wszystkich zaproszonych gości.

Po przywitaniu zabrzmiały fanfary. Na murawie Stadionu Dziesięciolecia młodzież utworzyła ogromnego, białego orła. W jego obrębie odegrała scenki z życia przedwojennej Polski: dworski salon z roztańczonymi carami, a obok grupy bezrobotnych bandosów, biedoty chłopskiej

i robotniczej, opuszczającej ojczyznę, wędrujących za chlebem — na obczyznę. Cała inscenizacja ukazywała w symbolicznym skrócie drogę, jaką wiodła do Polski Ludowej, poprzez cierpienie, walkę, pracę.

W chwilę później rozpoczęły się właściwe uroczystości dożynkowe. W tanecznym korowodzie przesunęło się 500 par, a później grupa chłopców i dziewcząt weszła na murawę niosąc 25 wieńców dożynkowych, symbol „srebrnego wesela Polski Ludowej”. Poproszono gospodarza Dożynek — Władysława Gomulkę wraz z innymi dostojnikami państwowymi. Zaśpiewano „Plon niesiemy, plon”. Starosta Dożynek Wacław Nakielski i Starościna — Janina Bujnowska wręczyli Władysławowi Gomulce bochen chleba z nowego zboża.

● Na polach i w lesie

Nie bardzo pięknie udały się w Polsce zbiory warzyw i niektórych owoców. Susza była wyjątkowo ostra. Późne warzywa jesiennie jeszcze jakoś po suszy uratowano. Rolnicy bardzo szybko zasiałi popłony, wykorzystując wilgoć w glebie z deszczu późnego lata. W ten sposób w części zniwelują straty paszy zielonej i siana.

Charakterystyczne dla upraw rolnych tego roku jest to, że rolnicy zakupują znacznie więcej nawozów sztucznych niż w odpowiednich okresach roku ubiegłego. Średnio w całej Polsce rolnicy zakupili o 93% więcej nawozów sztucznych niż w roku ubiegłym. Jest to wynik nie tylko dobrych chęci, by odżywić su-

chę ziemię, lecz również rezultat zwiększonych dostaw. Daje się odczuć zwiększona produkcja nawozów w nowo zbudowanych fabrykach chemicznych.

Amatorzy grzybów martwili się, że w tym roku ich w ogóle nie będzie. Po deszczach z końca sierpnia i początku września, pojawiły się w lasach. Były nawet dorodne, piękne. Na Warmii i Mazurach podobnie piękny „rok grzybowy” był ostatnio w 1961 r.

● Znowu przykry incydent w porcie szczecińskim

Co pewien czas, na szczęście rzadko, prasa krajowa donosi o nieprzychylnym zachowaniu się niemieckich marynarzy z portów na Morzu Północnym — w porcie w Szczecinie. Na ogół nikt nie zwracałby uwagi na marynarskie burdy pijackie, gdyby nie to, że ludzie spod tej właśnie bandery w stanie opilstwa obrażają godność narodową kraju, w którym się znajdują. W pierwszych dniach września kapitan zachodniemieckiego m/s „Anne Oltman” nie chciał uznać prawa strażniczkii portowej do tego, by sprawdziła jego dokumenty przy wejściu do portu i przepustkę do strefy wolno-cłowej. Gdy energiczna strażniczka wezwała na pomoc swych kolegów, rozjuszony kapitan-pijak uderzył ją w głowę i obrzucił obelgami obrażającymi naród polski. Został zawieszony do izby wytrzeźwień. Gdy kuracja poskutkowała awanturnikami zajęły się władze śledcze.

Tygodniowa GAWĘDA

- ▲ Oskarżenie na czasie
- ▲ „Żołnierska śmierć” Hitlera
- ▲ A oni są nadal bezkarni

Przedziwną informację przeczytałem w gazecie: wydawany w Hamburgu, w Zachodnich Niemczech, tygodnik „Stern” napisał w jednym z artykułów o chorobach Adolfa Hitlera, że jego przyboczny lekarz nazwiskiem dr Erwin Giesing zauważył kiedyś u swego pacjenta objawy zatrucia kokainą i mimo to zastosował ponowną dawkę tego narkotyku, co mogło zagrażać życiu fuhrrera. „Stern” zanotował uwagę tego lekarza: „W tym momencie ogarnęło mnie pragnienie, by Hitler przestał istnieć.”

Dla tego, co tu chcę napisać, jest obojętne, czy rzeczywiście tak było i czy rzeczywiście lekarz tak myślał. Istotne jest co innego: dr Giesing żyje po dziś dzień i praktykuje w NRF, a na podstawie wydrukowanej w tygodniku uwagi tego lekarza, prokuratura wystąpiła przeciw niemu z oskarżeniem o „pobrę dokonania zbrodni”!

Tak się składa, że akurat w tym czasie, gdy przeczytałem tę przedziwną informację, pracowałem nad przekładem na język polski niedużej, ale nader interesującej książki radzieckiego autora Lwa Bezymienskiego pt. „Wystrzał, którego nie było”. Jest to książka o ostatnich dniach Kancelarii III Rzeszy w roku 1945, kiedy bestia hitlerowska dogorywała pod ruinami Berlina, opowieść dokumentarna o śmierci Hitlera, jego żony Ewy Braun, rodziny Goebbelsów i generała Krebsa w schronie dyktatora. Bezymienski był w tych dniach w Berlinie jako korespondent wojenny, wiele widział i przeżył, a ostatnio dokopał się w archiwach moskiewskich materiałów, związanym z omawianą tematyką i skonfrontował je z żyjącymi świadkami wydarzeń. Jest to pasjonująca opowieść, w której obok protokółów sekcji odnalezionych i na wpół spalonych zwłok dyktatora, zestawionych przez wybitnych lekarzy i patologo-anatomów radzieckich, mówią oni sami, wspominając ówczesne wydarzenia; a prócz tego w książce są

zeznania strony przeciwnej; ludzi z otoczenia Hitlera, którzy do ostatniej chwili przebywali wraz z nim w bunkrze oraz nader cenne zeznania dentystów fuhrrera, którzy bez cienia wątpliwości rozpoznali w okazanej im szczeczce — uzębienie wodza III Rzeszy, mostki i korony, które sami dla niego wykonywali.

Powołuję się na tę książkę jednak w innym celu: oto dokumenty, reprodukcje w książce, dowodzą z absolutną pewnością, że Hitler, Braun, Goebbels i jego rodzina (żona i sześcioro dzieci), a także generał Krebs zginęli wszyscy w wyniku otrucia cyjankiem potasu. Ten dowód rozwiewa uprzedzone rozpoznania przez niektórych autorów zachodniemieckich wersję, jakoby Hitler zginął „żołnierską śmiercią”, od kuli. Na to nie starczyło mu odwagi. Mało tego, Hitler polecił, by po śmierci przetrzebić go po to, by stworzyć pozory owej „żołnierskiej śmierci”. Tak też uczyniono, jednakże ekspertyza wydołała prawdę na wierzch. Ostatni mit III Rzeszy prysnął.

I teraz, bez mała ćwierć wieku po tych wydarzeniach, prokuratura NRF wytacza proces lekarzowi, któremu naprawdę przeszło przez myśl, żeby uwolnić świat od tego zbrodniarza bądź też dziś tylko tak twierdzi! Czy zdaje sobie, mił, sprawę z tego, co to znaczy? Co to znaczy zwłascza w kraju, w którym setki i tysiące małych hitlerków, mających na sumieniu morderstwa, dokonane na bezbronnych, chodzi sobie bezkarnie, a jeden z nich, za wiedzą swego kościelnego zwierzchnika, kardynała, może nawet być biskupem-sufraganem — mówię oczywiście o głośnej sprawie biskupa Defreggera.

W Polsce informacja o wytoczeniu procesu lekarzowi nie wywołała sensacji. O bezkarności katów wiadomo tu wszystkim. Czegoż się innego spodziewać?

Jednym ZDANIEM

● W Polsce zarejestrowano w czerwcu 3,6 miliona telewizorów, z czego 900 tys. na wsi.

● Odważny żeglarz Leonid Teliga otrzymał w Szczecinie honorową odznakę tej ziemi „Gryfa Pomorskiego”.

● Łódzcy archeolodzy zameldowali o znalezieniu unikalnych brązowych grotyw strzał sprzed 2,5 tysiąca lat.

● W Warszawie ukazał się pierwszy numer obszernego tygodnika ilustrowanego „Perspektywy”, którego nakład rozkupiono już w ciągu dwu godzin.

● W Pińczowie, na razie doświadczalnie, dojrzewają na stoku Góry Zamkowej winogrona francuskie, węgierskie, bułgarskie, amerykańskie i portugalskie.

● 37-my statek, drobniociec m/s „Zawiercie” spuszczone w stoczni szczecińskiej.

● W Łódzkim Domu Kultury wystawiono prace graficzne i malarskie jeńców wojennych z oflagów i stalagów.

● W Warszawie obradowali specjaliści od budowy wielkich zapór wodnych z 37 krajów.

● W Kraśniku (woj. Lublin) otworzono nowoczesny szpital powiatowy z kompletem podstawowych oddziałów specjalistycznych.

● Polska pisarka i dziennikarka Monika Warneńska otrzymała za reportaże z Wietnamu „Grand Prix” Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy.

● Kierowcy łódzcy utworzyli wspólnie z miejscową stacją krwiodawstwa „bank krwi”, a ich grupę krwi wraz z czynnikiem „rh” wpisuje się do praw jazdy.

● Organ Związku Bojowników o Wolność i Demokrację dwutygodnik „Za Wolność i Lud” obchodził 20-lecie swego istnienia.

POMNIKI GROBOWE H. DĄBROWSKIEGO i J. WYBICKIEGO

W INNOGÓRA, powiat Środa Wlkp., oddalona o 17 km od Wrześni w województwie poznańskim. Nad drzwiami winnogórskiego kościołka z roku 1766, na dużej złoczonej tablicy widnieje głęboko ryty napis:

JAN HENRYK DĄBROWSKI
Generał Jazdy, Senator Wojewoda
Królestwa Polskiego, Orła Białego
Kawaler, Legii Honorowej, Krzyża
Wojskowego, Korony Żelaznej etc
Kommandor.

W kaplicy, miejscu spoczynku, podobna tablica z następującym napisem:

„JAN HENRYK DĄBROWSKI —
WÓDZ POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO,
NIEZŁOMNY, PEŁEN ENERGII I
POŚWIĘCENIA PATRIOTA,
WSKRZESICIEL OREZA POLSKIEGO,
ZNAKOMITY GENERAL —
DZIAŁALNOŚĆ JEGO PRZYPADA
OD ROZBIORÓW POLSKI DO UPADKU
CESARZA NAPOLEONA I”

Z lewej strony inna tablica i napis, przecieramy oczy, ile takich tablic świadczących o niezwykłym wychowaniu, patriotyzmie i bohaterstwie naszych przodków „za waszą i naszą wolność” znaleźć można dziś? Po ostatniej wojnie zapewne jest ich bardzo wiele. Na tablicy-dokumentie napis, czytamy:

„Wiekopomnej pamięci bohater-
skich sześciu braci Płonczyń-
skich, urodzonych w Chociczy,
chrzczonej w Winnogórze, wojow-
ników z boju napoleońskich i po-
wstań, synów majora Wojsk Pol-
skich Macieja Płonczyńskiego:

1. podpułkownika Jana Chrzyciela, 1777—1851, Złoty Krzyż i Virtuti Militari,
2. pułkownika Antoniego, 1779—1831, Krzyż Kawalerski i Krzyż Legii Honorowej,
3. majora Felicjana, 1783 — zm. po 1828 r.
4. pułkownika Jana Nepomucena, 1786—1847, Krzyż i Virtuti Militari i Krzyż Srebrny Legii Honorowej,
5. pułkownika Władysława, 1788—1831, poległego pod Grochowem,
6. kapitana Andrzeja, 1791 — po 1839, Krzyż Legii Honorowej, oraz pamięci

Mikołaja Leszczyca Dobrzyckiego oficera i więźnia Stanu, urodzonego w Rumiejkach Szlacheckich 6.12. 1793 r., poległego pod Obornikami 5.5.1848 roku”.

Wchodzimy do wnętrza kaplicy. Na wprost okna, na tle zabytkowego witraża Wiktora Gosienieckiego ze znakiem wiary legionistów, że Polska zmartwychwstała, oraz na tle pięknego, stylizowanego, legionowego Orła Białego bez korony i obejmującego szeroko rozwartymi skrzydłami niezwykle skromny napis na jeszcze skromniejszym sarkofagu:

„HENRYK DĄBROWSKI”

A więc to tutaj, w tej kaplicy pełnej malowideł, napisów, popiersi, emblematów i insygniów legionowych oraz wśród czterech innych bogato inkrustowanych legionowych orłów białych — spoczywają szczątki Tego, komu napiserw legionści u boku „boga wojny”, zdobywcy pół świata, co przewracał trony, zrzucił korony, wymazywał kraje z mapy Europy i zawierał traktaty, w których ani jednym słowem nie wspominał o Polsce, a potem, „wszyscy pewni zwycięstwa uotali ze łzami: Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!” Więc to tutaj spoczywa Ten, któremu we Włoszech śpiewano mazurek: „Marsz, marsz, Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski...” A pieśń leciała poprzez śnieżne

szczyty Alp, poprzez lądy, morza i rzeki nad tronami naszych zaborców, ponad gabinetami dyplomatów austriackich, carskich i pruskich, ponad głowami wrogich Polakom wojsk, aż runęła w kraju jak piorun wielka, potężna, budząc nadzieje w sercach, wiare w wolność rychłą, w niepodległość upragnioną: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Inny napis przypomina nazwy pół bitewnych: „Zieleńce — Wola — Powązki — Bydgoszcz — Trebia — Novi — Tczew — Frydland — Grochów — Nowe Miasto — Borysów — Berezyna — Lipsk — Drezno” itd., itd.

Słuchamy teraz stojąc w głębokim milczeniu opowiadania, a raczej pięknej żołnierskiej gawędy zacnego kapłana, b. kapelana Wojska Polskiego we wrześniu 1939 r., obecnego proboszcza winnogórskiej parafii, który „pamiętańek drogich ludowi” strzeże jak wartynek, iście po żołniersku:



Popiersie gen. J. Wybickiego w kaplicy J. H. Dąbrowskiego w Winnogórze

...urodził się 29 sierpnia 1755 roku w Pierzchowiej ziemi bocheńskiej z ojca Jana Michała, oficera i matki Zofii Lettow, w rodzinie, w której żyła była tradycja wojskowa. W drugim roku życia stracił matkę. Licząc 11 lat wraz z ojcem wyjechał do Saksonii. Tu kształcił się w Dreźnie, poznał służbę wojskową, żywo interesował się literaturą i poezją. Dopiero po 25 latach wrócił do kraju, by oddać jemu tylko służbę, poświęcić swą wiedzę, siły, talent i życie. Po upadku Polski tworzy we Włoszech Legiony — składały się z dwóch legii i liczyły 21 tysięcy demokratycznego wojska.

Dnia 5 listopada 1807 roku poślubił podczaszankę Barbarę Chłapowską i miał po roku 1815 dwoje dzieci: Bogusławę i Bronisławę. Licząc 63 lata zmarł w Winnogórze w dniu 6 czerwca 1818 roku od gangreny zranionej ongiś nogi. Niezwykle wspaniały pogrzeb odbył się w dniu 13 czerwca, pochowany został w obecności wielu generałów, obecny był również generał Józef Wybicki, autor pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Ciało w mundurze legionisty spoczęło w dwóch trumnach, w które włożono trzy szable i trzy kule ołowiane dużego kalibru, od których był ranny w bojach oraz różne pamiątki i odznaczenia. Zwłoki złożono najpierw w podziemiach winnogórskiego kościołka, zachowując wszystkie należne generałowi honory wojskowe.

W dniu 3 listopada 1821 roku wyjęto komisyjnie z trumny trzy szable i kule oraz cenne pamiątki i przesłano do zbiorów po generale Dąbrowskim na rzecz Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie.

Serce zdeponowano w urnie i przekazano Muzeum Narodowemu w Krakowie, skąd przewieziono je w 1966 r. do Poznania na miejscową Skałkę.

W roku 1863 prochy w obu trumnach przeniesiono z podziemi kościelnych do specjalnie dobudowanej kaplicy kościelnej i tu uroczyste złożono w prostym sarkofagu.

W zachowanych aktach odnajdujemy opis pogrzebu z dnia 13 czerwca 1818 roku. Czytamy w nich:

„Trumnę miedzianą wstawioną w drewnianą zwierzchnią aksamitem narodowych barw bogato srebrnymi galonami i antabami ozdobioną wpośród rozczulającego placu nieśli domownicy, którą liczny orszak duchowieństwa poprzedzał, zebrani obywatele, pochyleni wieśniacy i strapione ubóstwo. Świt dnia ogłosił dzwony, żałobne modły, które zakończył w południe, błagalna na ołtarzu ofiara w solennym obrzędzie J. W. X. Miaskowski, proboszcz Katedry Poznańskiej. Po mszy św. i po kazaniu miał mowę pożegnalną i pogrzebową w rozczulających wyrazach...”

W stulecie zgonu gen. Dąbrowskiego w dniu 10 czerwca 1918 roku, w przededniu zakończenia pierwszej wojny światowej, odbyła się w Winnogórze wielka uroczystość złożenia hołdu twórcy Legionów Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu i gen. Józefowi Wybickiemu. W jednej z licznych mów rektor Józef Kłos powiedział:

„Legiony Dąbrowskiego siały czynami nasienie przyszłej siły narodu, wskrzesiły chwałę oręza polskiego i stwierdziły wobec całego świata prawo polskiego narodu do niepodległości. Bez czynów legionistów Dąbrowskiego, bez Wybickiego hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła” rozplynelibyśmy się w morzu obcych narodów, stalibyśmy się gromadą niewolników o sytym może żołądku i dobrym odzieniu, ale z obrozą na karku...”

Wsie BRODNICA (nie mylić z miastem tej nazwy) i MANIECZKI — leżą w powiecie Śrem Wlkp. Tu żył, umarł i spoczął nieśmiertelny autor Mazurka Dąbrowskiego, gen. Józef Wybicki. W Brodnicy, na przykościelnym cmentarzu w latach 1822—1880 znajdował się skromnych rozmiarów drewniany pomnik grobowy Wybickiego. Do roku 1914 dochowała się jedynie część pomnika przedstawiająca postać kobiety w żałobie, którą potem umieszczono w zbiorach Poznańskiego Towarzystwa Naukowego. Na pomniku, na blasze, złożonymi literami widniał napis:

„Tu leżą zwłoki J.W. Józefa Wybickiego —
Senatora Wojewody Królestwa
Polskiego, ozdobionego Orderem Orła
Białego i Wielkim Krzyżem Legii
Honorowej. Urodził się w roku 1747 we wsi
Bendominie. Umarł dnia 10 marca 1822
roku we wsi Manieczkach. Przechodzą-
cych proszę o westchnienie”.

Po roku 1880 na skutek zniszczenia przez wpływ atmosferyczne, na dawnym miejscu postawiono nowy pomnik z kamienia-piaskowca z krótszym nieco napisem:

„Józef Wybicki — Konfederat Barski
— Legionista — Senator Wojewoda —
1747—1822”.

Ten drugi pomnik wznosił Wybickiemu być może prawnuk generała dr Stanisław Rożnowski lub — co jest pewniejsze — siostra zmarłego — hr. Łubieńska z Krakowa.



Rodzinny dworek gen. J. Wybickiego, autora hymnu „Jeszcze Polska” w Bendominie, pow. Kościerzyna, woj. gdańskie. W dworku mieści się szkoła



Sarkofag Jana Henryka Dąbrowskiego w Winnogórze (pow. Środa) na tle sztandarów legionowych z 1796/97 oraz na tle demokratycznego Orła Białego

Opiekę nad grobowcem roztaczali najpierw właściciele Brodnicy, gen. Dezydery Chłapowski, później jego wnuczka hr. Mańkowska. Trudno wyobrazić sobie, jak wyglądał pierwszy drewniany pomnik Wybickiego, nie zachował się bowiem żaden rysunek, szkic czy plan, natomiast drugi pomnik z kamienia-piaskowca miał krzyż, ale bez wizerunku Chrystusa i posiadał Oko Opatrzności. Takie samo Oko Opatrzności widnieje jeszcze dziś w kaplicy wybudowanej w roku 1786 przez Wybickiego w kształcie rotundy w Manieczkach, wewnątrz której znajduje się znamieny napis: DEO MEO, co wskazywałoby, że zarówno kaplicę, jak i pomnik, stawiali wyznawcy zasad wolnościowych. Te okoliczności jak i znane wystąpienia publiczne Józefa Wybickiego każą wnioskować, że należał on do Łoży Wolnomularskiej.

W sto lat po zgonie generała, autora polskiego hymnu narodowego, dokładnie w roku 1923, nastąpiła komisyjna ekshumacja prochów J. Wybickiego, przy czym okazało się, iż:

„obecni stwierdzili protokolarnie, że oprócz prochów Józefa Wybickiego w grobowcu znajdowały się jeszcze inne szczątki zmarłych, znacznie już przez ząb czasu uszkodzona trumna ze zwłokami nieznaną niewiasty, prawdopodobnie żony śp. wojewody. Smiertelne szczątki Józefa Wybickiego z resztkami trumny i odznakami wydobyto na powierzchnię za pomocą ciantu...”

Protokół ekshumacyjny z dnia 11 października 1923 roku dodaje: „Autentyczność zwłok rozpoznano po wstędze Orła Białego i po gwieździe orderowej, z wrytym napisem: „Pro fide, rege et lege”.

Dokończenie na str. 14



Na ludność polską spada grad kul dywersantów

„LE DIMANCHE SANGLANT” — c'est ainsi que furent appelés dans l'histoire de la Deuxième Guerre mondiale les événements de Bydgoszcz comptant avant guerre une importante minorité allemande qui, lors du déclenchement des hostilités, joua le rôle de Ve Colonne, tirant dans le dos des soldats polonais. Elle fut découverte et traquée par l'armée polonaise et la population de la ville.

Les troupes allemandes qui entrèrent par la suite dans Bydgoszcz se vengèrent de ce fait sur la population de Bydgoszcz. Ce fut un véritable massacre. Les hitlériens assassinèrent quatre mille personnes de la population civile de Bydgoszcz. Les victimes polonaises furent alors présentées par la propagande de Goebbels comme étant des représentants de la minorité allemande qui auraient soi-disant été tués par les Polonais.

Cet événement a fait l'objet d'un film polonais retraçant la tragique vérité de ce dimanche sanglant. Ce film intitulé „Les voisins” a été réalisé par Aleksander Scibor-Rylski, écrivain et metteur en scène, natif de la ville de Bydgoszcz, témoin oculaire de ces événements. Scibor-Rylski présente dans son film semi documentaire l'épopée de ces gens qui dans cette guerre ont été les premières victimes du génocide nazi.



Do walki stanęła spontanicznie cała ludność Bydgoszczy: kolejarze, pocztowcy, policjanci, harcerze, li

SASIEDZI

Ludność cywilna zaatakowana na ulicy przez dywersantów w popłochu szuka schronienia. „Piąta kolumna” — to mieszkańcy Bydgoszczy pochodzenia niemieckiego. Strzelają z okien i dachów okolicznych domów



Józef Nowak jako kolejarz Marczewski i zmarły n

JEDNYM z czołowych argumentów używanych przez propagandę niemiecką w ubiegłym ćwierćwieczu dla usprawiedliwienia napaści na Polskę w dniu 1 września 1939 r. był tzw. problem niemieckiej mniejszości narodowej. Była ona przed wojną liczna, szczególnie w zachodnich województwach — m. in. w Górnym Śląsku, w Poznańskim, Łódzkim i Pomorskim. Doskonale zorganizowana, zamożna, niezwykle solidarna i ożywiona na ogół uczuciem niechęci, a nierzadko nienawiści do państwa polskiego, na którego obszarze znalazła się w wyniku postanowień Traktatu Wersalskiego, niemiecka mniejszość narodowa stała się w Polsce — jak i gdzie indziej — podatnym na propagandę hitlerowską rezerwuarem kadr dla niemieckiego wywiadu — słynną „Piątą Kolumną”, która uderzyć miała na Polskę w wyznaczonym dniu, obok wojsk lądowych, morskich i powietrznych.

Hitlerowcy zawsze traktowali Niemców zagranicą jako sprawne narzędzie dywersji przeciw państwu, na których terenach osiedli. Byli niezastąpieni nie tylko jako źródło informacji wywiadowczych, ale także jako... obiekt prześladowań. Kiedy zbyt jawna już antypolska działalność niemieckich organizacji politycznych, szkół, czasopism itp. pociągała za sobą policyjne represje, absolutnie uzasadnione



...ealiści. W środku — Marian Opania w roli Truchaczka



...awno Tadeusz Kalinowski w roli policjanta Rubacha

punktu widzenia polskiego interesu narodowego i przeważnie daleko łagodniejsze niż na przykład wobec polskich organizacji lewicowych — w prasie hitlerowskich Niemiec natychmiast podnoszono alarm o terrorze i prześladowaniach. Lato 1939 r. przeszło w prasie niemieckiej pod hasłem rozpętanej kampanii antypolskiej właśnie wykorzystującej sprawę rzekomych prześladowań niemieckiej mniejszości. Kłamstwa, w myśl zasad hitlerowskiego ministra propagandy Goebbelsa, powtarzane z uporem i nie liczące się z żadnymi obiektywnymi przesłankami, ich masowość i nasilenie wywoływało zbiorową psychozę w Niemczech, tworząc przychylny klimat dla dawno zaplanowanej agresji. Z drugiej zaś strony — wiązało ręce rządowi polskiemu, który chcąc udowodnić swym zachodnim aliantom dobrą wolę i pokojowe nastawienie — musiał rezygnować z represji wobec niemieckich dywersantów nawet w bardzo jaskrawych wypadkach.

Szczególnie „gorącym” miastem była w tym czasie Bydgoszcz, stolica polskiego Pomorza. Bogate, zasobne miasto kupieckie, o dużym procencie Niemców, stało się w ostatnich dniach sierpnia miejscem największej ze wszystkich niemieckich prowokacji, ściśle związanych z planami agresji na Polskę. Niemiecki plan operacyjny przewidywał błyskawiczny atak zachodu po nasadzie tzw. Korytarza łączącego wzdłuż Wisły ziemie polskie z polskim wybrzeżem Bałtyku. Broniąca tego odcinka polska armia „Pomorze”, zagrożona odcięciem, musiała wycofywać się przez Bydgoszcz, leżącą u nasady „Korytarza”. I właśnie w tym mieście odwrót polskiej armii mieli zakłócić — a nawet uniemożliwić — niemieccy dywersanci rekrutu-



Po zajęciu miasta na mieszkańców Bydgoszczy spadają represje hitlerowców. Za chwilę padną strzały



Wystąpienie niemieckich dywersantów miało miejsce 4 września 1939 r. Tym razem atakują wojsko

jący się spośród miejscowej ludności i elementu nاپływowego.

Otwarte wystąpienie niemieckich dywersantów miało miejsce w niedzielę 4 września 1939 r. Na wycofujące się przez miasto jednostki polskiej armii posypał się grad kul. Strzelano z dachów, z wież kościelnych, z okien piwnic, z zamożnych mieszczańskich domów. Wśród tysięcznych tłumów polskich uchodźców wycofujących się wraz z wojskiem wybuchła panika. Zamęt groził sparaliżowaniem dużego odcinka frontu.

I wówczas do walki stanęła spontanicznie ludność Bydgoszczy. Polscy kolejarze, pocztowcy, policjanci, harcerze, licealiści, ludność cywilna w ciągu kilku godzin stłumili rozruchy. Były ofiary po obu stronach, wzięto do niewoli kilkuset dywersantów.

W kilka dni później miasto padło. Niemcy natychmiast ogłosili wieści o polskim barbarzyństwie, o masakrach dokonanych przez rozwieziony tłum na bezbronnej ludności cywilnej. Radiostacje dniami i nocami roznosiły po świecie astronomiczne liczby ofiar niemieckich owej „Krwawej niedzieli”. Jaka zaś była prawda? Rozstrzelano na miejscu — zgodnie z prawem wojennym — kilkunastu dywersantów schwytanych w mundurach armii polskiej. W momencie wycofywania się wojsk polskich zabrano na wschód kilkudziesięciu schwytanych z bronią w ręku cywilnych dywersantów; większość oswobodzona została w ciągu następnych dni. Całą resztę — kilkuset mężczyzn — wypuszczono na wolność! Władze polskie do końca żywiły nadzieję, że humanitarne traktowanie jeńców niemieckich spowoduje takie samo traktowanie Polaków.

Ale po „Krwawej niedzieli” przyszedł następny krwawy tydzień. Oddziały frontowe Wehrmachtu, policja polowa, żandarmeria i jednostki gestapo rozpoczęły natychmiast po zajęciu Bydgoszczy polowanie na ludzi. Dniem i nocą trwały egzekucje, rozstrzelano ok. 4.000 ofiar. Tych, którzy w rozpaczliwej i beznadziejnej walce własną krwią bronili rodzinnego miasta. I teraz padali od kul tych, z którymi przez długie lata współżyli na równych prawach. Od kul sąsiadów.

Tytuł „Sąsiedzi” nosi właśnie wielki, epicki film, który w 30 rocznicę tragedii Bydgoszczy wszedł na polskie ekrany. Zrealizował go Aleksander Scibor-Rylski, pisarz i reżyser, urodzony w Bydgoszczy, naczynny świadek wydarzeń tamtych dni. Zrealizował w stylu surowej, półdokumentalnej opowieści, opartej w całości na materiałach historycznych, z ogromną troską o autentyzm i prawdę.

Dwu i półgodzinna opowieść o ludziach, którzy stanęli w obronie rodzinnego miasta, ma epicki rozmach i zdumiewa starannością realizacji. Z punktu widzenia roboty reżyserskiej sceny batalistyczne (takie np. jak atak Polaków na gniazdo dywersantów w kościele ewangelickim) należą do najlepszych, jakie kiedykolwiek pokazał polski film. Efektowna pirotechnika nie przesłania jednak zasadniczej treści — obrazu wydarzeń.

KOMETY W WODZIE

Twórcza myśl konstruktora przyniosła dwie zasadnicze zmiany zasady żeglugi. Jedną z nich to hovercrafty czyli po polsku poduszki, które właściwie nie pływają, lecz unoszą się tuż nad wodą na „poduszce” z powietrza wdmuchiwanego pod kadłub przez potężne śruby-wentylatory. W ich budowie przoduje Wielka Brytania; poduszki używane są już do żeglugi przez Kanał La Manche. Drugą zasadniczą zmianą została dokonana przez konstruktorów Związku Radzieckiego, którzy stworzyli wodoloty, czyli statki na skrzydłach.

Wodolot nie pływa, lecz ślizga się nad powierzchnią wody. Jeśli zbudujemy podłużny, podobny do rakiety kadłub o odpowiednio dobranych proporcjach, będzie leżał na wodzie jak tradycyjny statek lub płynął po niej, napędzany śrubą. Jeśli jednak poniżej linii wodnej zamocujemy do niego dwie wielkie skrzydlate płaszczyzny po obu stronach, lekko pochylone w stosunku do lustra wody, to przy odpowiedniej szybkości cały taki statek wyślizgnie się nad powierzchnię i pomknie przed siebie, lekko tylko dotykając grzbietów fal swymi płaszczyznami. Pozwala to osiągnąć szybkości niebywale dla tradycyjnych statków, a przez to, że wody, zamiast całego kadłuba, który ją rozcinał i rozpychał na boki, z lekka tylko dotykają skrzydła wodolotu — paliwo zużywa się znacznie ekonomiczniej.

Dla każdego kraju, który ma ogromną sieć naturalnych i sztucznych dróg wodnych i intensywnie wykorzystuje je dla transportu pasażerskiego i towarowego, szybkie wodoloty są idealnym rozwiązaniem. Czy nadają się w warunkach polskich?

W Szczecinie w centralnym punkcie

miasta, na Placu Żołnierza Polskiego, stoi tablica informująca o odjazdach statków Żeglugi Szczecińskiej do Swinoujścia. Jak w kolejowym rozkładzie jazdy: czarne cyfry oznaczają godziny odjazdu statków tradycyjnych, czerwone — pośpiesznych wodolotów typu „Kometa”. „Komety” są konstrukcją radzieckiej, zakupu dokonano dla próby eksploatacji na Zalewie Szczecińskim.

Czy są polskie wodoloty? Tak. W latach wojny żołnierz polskiego podziemia, obecnie profesor budowy okrętów na Politechnice Gdańskiej dr Lech Kobylński skonstruował polski wodolot „Zryw”. Lecz „Zryw” jest dopiero prototypem, wymaga wielu prób nie tylko samej konstrukcji, ale i materiałów — stali i stopów specjalnych o wysokiej wytrzymałości, w tradycyjnym budownictwie okrętowym nie używanych. Póki więc „Zryw” nie będą gotowe do budowy seryjnej, a to może potrwać i kilka lat, eksperymentuje się w Kraju „Kometami”.

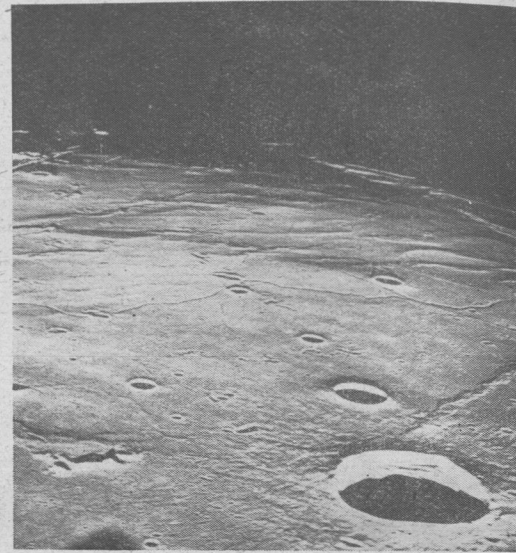
Jakie są wyniki eksperymentu? „Kometa” podbiła pasażerów z miejsca! Wystarczy porównać czas przejazdu ze Szczecina do Swinoujścia: pocągiem 3 godziny, statkiem tradycyjnym niewiele krócej, wodolotem — godzinę. A więc, choć jak widać z szybkości, jest to środek komunikacji, a nie powolnej turystyki, wszyscy pchają się do wodolotu: wycieczki odwiedzające Pomorze zachodnie i indywidualni turyści. Gdy zabraknie biletów (choć „Kometa” zabiera 100 pasażerów), rozczarowanie wielkie.

W czasie jazdy nie odczuwa się kołysania, a tylko lekka wibracja jak w autobusie. Nawet przy wyższej fali pasażerowie nie skarżą się na objawy

choroby morskiej. Najwyżej wibracja jest mocniejsza i wodolot z lekka podskakuje jak samochód na niezbyt równej szosie.

Co ważniejsze, wodoloty nie mają ograniczeń warunkami nawigacyjnymi. Choć „Kometa” ma tylko klasę, czyli uprawnienie do żeglugi przybrzeżnej, dyrekcja Żeglugi Szczecińskiej odbyła nią rejs eksperymentalny po Bałtyku i stwierdziła przy tym, że skrzydlaty statek spisuje się znakomicie również na pełnym morzu. Wodoloty są budowane w różnych wielkościach. Zarząd portu w Gdańsku zakupił dwa sześcioposobowe do użytku zamiast tradycyjnych motorówek. W próbach zaś są wodoloty pełnomorskie.

(C)



POWSTANIE KSIĘŻYCA

Dokończenie ze str. 7

ciokrotnie mniejsza od ziemskiej. Taki przebieg zjawisk tłumaczyłby fakt, że powierzchniowe warstwy Ziemi są bardzo podobne pod względem składu i ciężaru właściwego do materiału, z którego składają się Mars i Księżyc.

Ciekawe są metody, przy pomocy których uczeni próbują zweryfikować swoje hipotezy. Najistotniejsza ze wszystkich jest dokładna ocena wieku Srebrnego Globu; aby osiągnąć ten cel, bada się na przykład warstwy geologiczne, których wiek sięga miliardów lat. Szuka się tam meteorytów, które być może oderwały się z powierzchni Księżyca, gdy ten krążył bardzo blisko Ziemi. Znajduje się skamieliny pewnego rodzaju alg morskich, które wyrastały w czasie pomiędzy wysoką i niską wodą oceanicznych przyływów — dzięki tej własności ich wielkość zależy od amplitudy przyływów, a ta z kolei świadczy o obecności (lub nieobecności) bliskiego ciała niebieskiego. Lecz wszystkie — często bardzo pomysłowe — metody nie dały jeszcze pewnej odpowiedzi na pytanie: skąd się wziął Księżyc?

Argumentem na korzyść teorii przechwylenia mogą być szczególne cechy orbity Merkurego — pierwszej z planet krążących wokół Słońca. Orbita Merkurego wylamuje się z reguły, której podporządkowane są orbity wszystkich pozostałych planet.

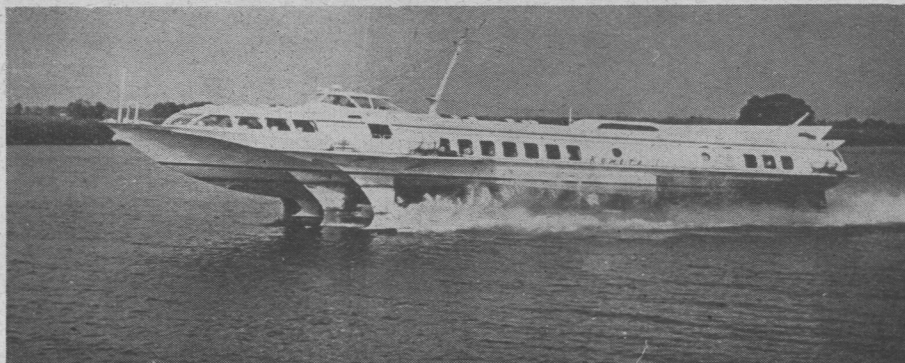
Okazuje się więc, że można podjąć się wyjaśnienia tej anomalii zakładając, że pomiędzy orbitą Merkurego i Wenus (drugiej planety układu słonecznego) krążyła niegdyś jeszcze jedna planeta, której orbita była jednak niestabilna.

W rezultacie skomplikowanych oddziaływań grawitacyjnych owo „nieobecne” ciało niebieskie mogło się w końcu dostać w obszar oddziaływania trzeciej planety naszego układu — Ziemi. Wydaje się, że Księżyc może być globem, który przed miliardami lat zeszedł z orbity wokółsłonecznej i został przechwycony przez Ziemię.

Czy tak było naprawdę?

Być może uczeni nigdy nie uzyskają całkowitej pewności co do przeszłych losów Księżyca, ale z pewnością już wkrótce wiedza o nim znacznie się rozszerzy. Próbkę księżycowych skał przywiezione na Ziemię przez amerykańskich kosmonautów rzuca nowe światło na przeszłość Srebrnego Globu. Na pytanie „Skąd się wziął Księżyc?” najprawdopodobniej odpowie on sam...

Krzysztof FRĄCKOWIAK



SĄSIEDZI

Dokończenie ze str. 11

Dwaj czołowi reprezentanci obrońców miasta — to poprzednio dwaj śmiertelni wrogowie. Policjant Rubach i kolejarz-komunisty Marczewski, grani przez zmarłego niedawno Tadeusza Kalinowskiego i Józefa Nowaka. Przy całym symbolizmie tych postaci są oni jednocześnie żywymi i bogato uzasadnionymi psychologicznie osobowościami. Odmienny światopogląd nie zamyka im drogi do służby ojczyźnie, choć pierwszy reprezentował w niej władzę, a dla drugiego było przedtem tylko więzienie i poniewierka. Najpiękniejsza jednak sylwetka filmu — to młody harcerz Truchaczek (Marian Opunia), reprezentant tej gorącej, patriotycznej młodzieży, która za swą najbardziej bezinteresowną miłość do ojczyzny płaciła najwyższą cenę.

I wśród Niemców, ze zrozumiałych względów przedstawionych w filmie w sposób bardziej skrótowy, nie brak

zróznicowania psychologicznego. Jest piękna postać pastora, który ginie z rąk sfanatyzowanych rodaków w beznadziejnej próbie ratowania ewangelicznych zasad miłości bliźniego. Są młodzi i starzy reprezentanci ideologii hitlerowskiej — i jest 17-letnia Anna-Maria Boehme (gra ją młodzianka aktorka niemiecka Evelyn Opoczyńska). Anna-Maria kocha swego kolegę szkolnego, Polaka, Piotra Horodeckiego (Jerzy Matalowski). Tę pierwszą, naiwną i dziecinną jeszcze miłość niszczy wojna. Oboje próbują bronić tej miłości, ale nie mają szans. Piotr ginie z bronią w ręku, Anna-Maria, samotna wśród swych rodaków, których fanatyzmu nie rozumie, ulega w końcu naciskowi tłumu i wydaje w ręce oprawców swoich kolegów, młodych Polaków. Ten tragiczny akord końcowy nie jest reżyserską fantazją. W 1939 r. 17-letnia Niemka z Bydgoszczy, Hildegard Retzlaff, wydała na śmierć kilkunastu Polaków, w tym wielu swoich szkolnych kolegów...

Oskar SOBAŃSKI

POMNIKI GROBOWE H. DĄBROWSKIEGO I J. WYBICKIEGO

Dokończenie ze str. 11

Dające się po resztkach stroju rozpoznać zwłoki kobiece są na pewno Estery z Wierusz-Kowalskiej, żony generała, która — jak podają akta księgi zgonów w Brodnicy — zmarła w dwa lata po mężu, 29 października 1824 roku.

Ale protokół podaje też, że:

„Przy ekshumacji prochów autora „Jeszcze Polska nie zginęła”... w dniu 11 października 1923 roku w grobowcu na cmentarzu brodnickim znaleziono również strzępy munduru i butów z ostrogami, które według prawdopodobieństwa nie należały do wojewody, a do jego syna Łukasza, oficera lekkokonnego pułku gwardii cesarza Napoleona, który to syn zmarł w Poznaniu w czasie wyprawy na Moskwę w dniu 10 lipca 1812 roku. Jeśli nawet zmieszane kości rodziny Wybickich trudno było komisji ekshumacyjnej ustalić, pozostaje to bez większego znaczenia. Zależało przecież tylko na tym, aby w garście prochu i w samym imieniu uczcić zasługi autora legionowej pieśni, oddane Ojczyźnie”.

Współtwórca Legionów Polskich we Włoszech w roku 1796, poeta, autor aktualnie do dziś obowiązującego hymnu państwowego, prawa ręką Dąbrowskiego, starszy był od swego zwierzchnika o lat 8 i przeżył go o

lat 4. Był rówieśnikiem Tadeusza Kościuszki i przeżył go o lat 5, był starszy od cesarza Napoleona o 22 lata i prze-



Jedną z tablic w kaplicy J. H. Dąbrowskiego — świadectwo bohaterstwa

żył go o rok, brał udział w 65 bitwach napoleońskich a zmarł śmiercią naturalną.

Antoni KACZMAREK
Września

Au cours de la dernière guerre les représentants du clergé polonais ont, à côté d'autres couches de la population, surtout de l'intelligentsia, fait l'objet d'exécutions et de déportations massives dans les camps de concentration.

2.647 prêtres et évêques polonais ont fait à la patrie le sacrifice de leur sang, assassinés par l'occupant allemand.

A la mémoire des prêtres martyrs des hommages furent rendus et des messes célébrées le 31 août dernier et le 1-er septembre à Gdansk en la basilique Notre-Dame, en l'église du Christ Roi, en l'église Sainte Barbe ainsi que sur l'emplacement de l'ancien camp de la mort de Stutthof. A ces hommages qui ont réuni de nombreux fidèles participèrent, notamment, cinq évêques polonais, anciens déportés des camps de concentration nazis.

D'autres détails vous sont donnés dans le compte rendu de Janusz Olejnik.



Ks. bp. Edmund Nowicki w otoczeniu ks. biskupów oraz księży — b. więźniów hitlerowskich obozów śmierci

W Bazylice Mariackiej w Gdańsku



W Stutthofie polowa msza żałobna

BISKUPI—BYLI WIĘZNIOWIE CZCZĄ PAMIĘĆ POMORDOWANYCH

PIERWSZE salwy hitlerowskich plutonów egzekucyjnych padły już w nocy z 31 sierpnia na 1 września w Gdańsku. Zbiry w mundurach feldgrau wywlekali swe ofiary z domów. Część rozstrzelano, resztę pognano do obozów śmierci, w drogę — bez powrotu.

Ostrze hitlerowskiego terroru skierowane było przeciw wszystkiemu co polskie. Mordowano robotników, urzędników, młodzież szkolną, dzieci. Szczególnie zaciekle wyniszczano polską inteligencję. Obozy zapełniały się także polskim duchowieństwem — księżmi i biskupami. 2647 polskich księży katolickich złożyło swe życie w ofierze ojczyźnie.

Pamięci księży-męczenników zostały poświęcone uroczystości 31 sierpnia i 1 września br. w gdańskiej Bazylice Mariackiej, w kościele Chrystusa Króla, w kościele św. Barbary oraz w Sztutowie (obóz śmierci Stutthof). Wzięło w nich udział pięciu polskich

biskupów — byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Przybyła także liczna grupa księży — byłych więźniów.

W niedzielę poprzedzającą uroczystości w Gdańsku we wszystkich kościołach diecezji odczytany został list pasterski b. więźnia obozów koncentracyjnych nr P 22032, ordynariusza gdańskiego, ks. bpa Edmunda Nowickiego. Zwraca się on do katolików swej diecezji, informując o zorganizowaniu w Bazylice Najśw. Maryi Panny w Gdańsku spotkania kapłanów — b. więźniów.

„Na miejsce tego niezwykle zjazdu — głosi list — obrali Gdańsk dlatego, ponieważ przed 30 laty rozpoczęła się tutaj męcząca droga duchowieństwa polskiego. Tutaj, w Gdańsku, po północy z 31 sierpnia na 1 września 1939 r. na udękę wygnania, więzienia i obozów zagłady skazani zostali pierwsi polscy księża. Liczba ich szybko potem rosła, aż dosięgła 7 tys. Spośród zaś tych 7 tys. ponad 2.500 wierność Chrystusowi i Polsce zaświadczyło ofiarą życia swego”.

Przypomina także w liście pasterskim zamordowanie pierwszego proboszcza kościoła pw. św. Stanisława w Gdańsku-Wrzeszczu — ks. Stanisława Komorowskiego i ogrom cierpienia rdzennej ludności polskiej zamieszkującej te tereny.

Na czele procesji wkraczającej do wspaniałej Bazyliki Mariackiej znajdowali się byli więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych: Stefan Aast (nr P 356), Alfred Blum (nr P 63342) oraz Antoni Waras (nr P 01634) — ubrani w obozowe pasiaki. Wśród biskupów — pięciu b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych: ordynariusz gdański ks. bp. Edmund Nowicki, sufragan poznański ks. bp Franciszek Jedwabski, sufragan poznański ks. bp Tadeusz Etter,

sufragan wrocławski ks. bp Kazimierz Majdański oraz sufragan chełmiński ks. bp Bernard Czapliński.

Rozpoczęła się Msza św. koncelebrowana przez księży biskupów — b. więźniów — oraz przedstawicieli poszczególnych diecezji i zakonów pod przewodnictwem ks. bp. Edmunda Nowickiego. Kazanie wygłosił ks. bp. Kazimierz Majdański — również b. więzień.

„30 lat — mówił ks. bp Majdański — to okres bardzo długi. W czasie tym zamyka się także najstraszliwsza wojna. Dziś jesteśmy bogatsi o wielkie, ale i trudne doświadczenia. Nie trzeba zapominać wielkiej lekcji historii. Ona nam dana została po to, byśmy o niej pamiętali, choć wiemy, że zwyciężyło dobro. Dziękujemy Ci, Boże, że nasz naród w tamtych latach nie był narodem quislingów. Miłość odniosła zwycięstwo nad nienawiścią, złem, zabójstwem”.

Ks. bp. Majdański przypomniał o ofiarach złożonych na ołtarzu Ojczyzny — tych z Poczty Gdańskiej i tych z Westerplatte, i tych spod Kutna, Warszawy, Kocka.

W godzinach popołudniowych odbyła się uroczystość w kościele Chrystusa Króla — dawnym kościele Polonii gdańskiej. Tu pracował zamordowany przez hitlerowców ks. Franciszek Rogaczewski.

1 września odbyły się uroczystości w Sztutowie. Polową mszę św. żałobną celebrował proboszcz katedry oliwskiej ks. prałat Leon Głowczewski. Po mszy św. księża biskupi oraz księża — byli więźniowie — i wierni zwiedzili teren byłego obozu śmierci w Stutthofie, w którym zamordowano ponad 85 tys. ludzi.

Uroczystości gdańskie dobiegły końca. Ale pamięć o duchownych polskich, którzy złożyli swe życie w ofierze Ojczyźnie — trwa. Ci, co przeżyli, pozostali wierni Polsce. Warto o nich pamiętać, gdy w zachodnich Niemczech dostojeństwa i fiolety przypadły człowiekowi, który wydał rozkaz egzekucji.

Janusz OLEJNIK
i B. ŻAREK

Władysław Umiński

ZNOJNY CHLEB



Sobiesław Mrocki — wychodźca z zaboru pruskiego i Kujawianin — Witold Grzymała nareszcie otrzymali upragnioną pracę. Jako robotnicy w stalowni Pittsburga przez szereg tygodni obserwowali wysoki robotników i ponieważ, na jaką wszyscy byli skazani za niedaną płacę. Takich bystrych obserwatorów było więcej. Narzekano na pracodawców, na głodowe zarobki i bardzo zię, pełne niebezpieczeństwa warunki pracy. Rósł ferment wśród załogi, aż doszło do strajku, który niestety skończył się dla robotników fiaskiem. Mało na tym, doszło do ingerencji policji w stalowni, do niszczenia przez robotników sprzętu fabrycznego, do straszliwej walki z pracodawcami. Nawet na najgorszej pracy zależało jednak wielu robotnikom, którzy całymi miesiącami wyczekiwali pod bramami różnych zakładów na pracę. Znaleźli ją więc w stalowni, podczas gdy poprzedni pracownicy stali się bezrobotnymi. Wśród nich był również Witold Grzymała, który zdecydował się wyjechać z Pittsburga i szukać pracy na roli. Sobiesław pozostał bez przyjaciela, pracując w druciarni, w warunkach jeszcze gorszych niż miał w walcowni. Był już wyczerpany fizycznie i psychicznie. Czuł się coraz gorzej. Czym się ta praca skończy — czytamy poniżej.

ODCINEK 37

Mrocki ściga je zawzięcie. Daremnie. Chwylił za jeden skręt, a tu inne otaczają go ognistym kołem. Nagle zaskwierczała skóra. Sobiesław wydał bolesny okrzyk. Jeden ze skrętów wielkiej żmii oplótł się około jego ciała i kasa ognistym żądłem.

Mrocki broni się rozpaczliwie, ale wąż mściwy dotyka go czerwoną żądłem po raz wtóry. Znowu rozlega się syk i woń spalenizny. Nadbiega kilku robotników, rzucają się na rozszalałego gada, chwytają każdy jego zwój, przyniatają do ziemi, unieruchamiają.

Wydobyto ze splotów Mrockiego, zemdłego z bólu, i wyniesiono. Ale maszyny nie zaprzestały na jedną chwilę swej pracy. Żmija poskromiona wraca pomiędzy walce, które wsysają ją na wpół ostygłą, i znowu wszystko idzie po dawnemu.

Sobiesława odwieziono do szpitala. Miał sześć pręg bolesnych na ciele; żmija wpiła się głęboko, znacząc każdy uścisk raną.

Tak przypłacił Sobiesław jedną małą chwilę nieuwagi, chwilę słabości, pochodzącej z nadmiernego wyczerpania nerwów, targanych przez pół roku w najstraszliwszy sposób.

Leży w szpitalu obok podobnych jemu ofiar stalowni wyrzucającej codziennie parę kalek ze swego zadymionego wnętrza.

Sześć tygodni cierpienia, sześć tygodni życia szpitalnego, gorszego może aniżeli praca przy tych smokach i ognistych węzłach kasających boleśniej od jadowitych gadzin.

Była już piękna wiosna, kiedy Sobiesław, wychudły, opuścił podwoje szpitalne.

Nie wiedział, dokąd się obrócić. Miał przy duszy parę dolarów. Udał się machinalnie na stare mieszkanie. Został je od dawna wynajęte komu innemu, a rzeczy sprzedane za zaległe komorne. Nie było tego wiele, garść bezwartościowych przedmiotów. Mrocki machnął ręką. Co mu po tym!

Kiedy już chciał wychodzić, gospodarz, rodak, wręczył mu list. Mrocki rzucił okiem na pismo i uśmiechnął się radośnie.

Od Grzymały!

Tak, było to pismo skreślone ręką Kujawiaka.

Sobiesław czytał je pośpiesznie; tęsknił do towarzysza niedoli.

Kochany Sobiesławie — pisał dzielny Kujawiak niezgrabnymi literami. — Jestem w stanie Indiana na fermie za parobka i powodzi mi się wcale dobrze, chociaż mam pracy po uszy.

Ludzi tu brak; jeżeli chcesz, przyjeżdżaj zaraz; dostaniesz mieszkanie i życie w dostatku. Nie trać czasu, bo tu daleko lepiej, nie tak ciężko jak w mieście.

Napisz, czy się namyślił przyjechać i zostawaj zdrów.

*Twój
Witold Grzymała*

Do tego lakonicznego, ale tchnącego życiowością pisma dołączony był adres.

Mrocki schował je starannie do kieszeni. — Jadę! — powiedział sobie bez wahania.

ROZDZIAŁ VI

Z „PARTIĄ”

Sobiesław należał do tych ludzi, którzy energicznie wykonują swoje postanowienia.

Postanowił jechać na wieś i od dnia tego myślał ciągle, jakby dopiąć celu.

Zadanie nie było bynajmniej łatwe. Jak wiemy, u Mrockiego nie przelewało się nigdy w kieszeni, ale teraz było tam tylko płótno. Z drugiej strony, podróż do Indiany była daleka, a więc kosztowna.

O tym, żeby co odłożyć z zarobków, nie można było nawet marzyć; do stalowni nie śpieszyło się z powrotem Mrockiemu. Ogarniał go lęk na myśl, że znowu znajdzie się wpośród splotów wielkiej żmii ognistej, z której podstępami musiał co dzień walczyć; drżał po prostu, kiedy uprzytomnił sobie jej jadowite uściski. Wolał najgorszą robotę, byle z dala od niej. Może by mu dali zajęcie w innym oddziale, ale wszędzie czyhało nań podobne niebezpieczeństwo. Miał świeżo w pamięci wypadek z ludźmi, na których wylało się żelazo ze źle przygotowanej formy; słyszał jęki i krzyki umierających w strasznej męce.

Nie poszedł więc do stalowni. Bo i po co? Żadnej zapomogi nie mógł się spodziewać, bo uległ wypadkowi „skutkiem własnej nieostrożności” i nie postradał zdolności do pracy. Przyjęto by go co najwyżej na dawne miejsce.

Próbował jeszcze raz szczęścia po fabrykach, ale nigdzie mu się zarobek nie nadał.

„Trzeba jechać! — pomyślał sobie. — Jechać, w ostatecznym razie towarowym pociągiem albo nawet wozem, byle uciec z przeklętego miasta jak najprędzej”.

Mrocki, nauczony smutnym doświadczeniem, nie miał odwagi jechać na gapę, ale zaczął na ten temat rozpytywać się znajomych robotników.

Ci dali mu niebawem bardzo cenne wskazówki. Jeden z nich, Polak, ofiarował się zaprowadzić go na miejsce, gdzie mieszkali robotnicy udający się właśnie koleją na farmy.

Nazajutrz poszli razem na przedmieście, do ubożego domku parterowego. Była tam mizerna oberża, rodzaj przytułku dla ubogich robotników, a zarazem kantor najmu pracowników rolnych.

Za trzydzieści centów dziennie można było tu dostać nocleg i kawałek chleba z gorącą zupą na śniadanie.

Właścicielem tej gospody był Ukrainiec z Galicji, mówiący dosłownie po polsku.

Wysłuchawszy, o co idzie, Ostap zobowiązał się przyłączyć Mrockiego do partii, która miała jechać na gapę.

Sobiesław dziwił się, że można całymi partiami robić to, co jemu tak na złe wyszło; ale nie chciano odpowiadać na jego pytania w tej kwestii; kazano mu stawić się nazajutrz o świcie na stacji kolejowej i przygotować jednego dolara gotówką jako wpisowe oraz nieco żywności na drogę.

Mrocki usłuchał i o oznaczonej porze przyszedł na dworzec, gdzie znajdował się już Ostap w otoczeniu piętnastu może biedaków szukających jak Mrocki pracy na roli.

Zamiast jednak wsiąść od razu do pociągu, partia poszła pieszo do najbliższej stacyjki i tam zatrzymała się na noc.

Kiedy zrobiło się już ciemno, przywódca, dobrze, jak się niebawem okazało, obznajmiony z tego rodzaju wyprawami, rzekł:

— O dwunastej zatrzyma się tutaj pociąg odchodzący do Saint Louis nad Missouri; kiedy zagwizdzą, powłażcie do wagonów; tylko trzymać się kupy.

Tak się też stało.

Cichaczem, przez nikogo nie widziani, nasi bezpłatni podróżni wśliznęli się pomiędzy stojące na platformach, pokrywane płótnem maszyny rolnicze, pokładli się tak, żeby ich służba kolejowa nie dostrzegła, i po chwili nic już nie zdradzało ich obecności.

Ci, którzy nie zmieścili się na tej platformie, ulokowali się na sąsiedniej. Było im tam bardzo wygodnie. Mrocki schował się pod maszynę tak doskonale, że nawet towarzysze nie wiedzieli, gdzie się znajduje.

W kwadrans potem pociąg ruszył. Kiedy się znalazł w otwartym polu, towarzysze podróżni zaczęli wypelzać ze swych kryjówek i korzystając z pogodnej nocy księżycowej grali w zasmolone karty...

Mrocki przyłączył się do kompanii, a ponieważ było w niej paru Polaków, wszczęła się więc rozmowa.

— A jeżeli nas zobaczą? — zagadnął Sobiesław pewnego Litwina.

— No to co?

— To nas powyrzucają z pociągu jak mnie kiedyś.

— To was wyrzucili z wagonu? — zaśmiał się Litwin. — O, ja wiem, oni takie sztuczki potrafią. Ale niechby spróbowali nas zaczepić. Dalibyśmy im bobu.

Z tymi słowami wyciągnął z kieszeni rewolwer i błysnął lufą w świetle księżyca.

— Pozwalają sobie te lajdaki na coś podobnego tylko z pojedynczymi ludźmi w pociągach osobowych. Ale kto osobowymi jeździ? Chyba jaki frajer! Nie my się boimy służby kolejowej, ale oni nas! My tu pany, nie oni.

Bezpłatni pasażerowie wysłuchali opowiadania Mrockiego z wielkim oburzeniem.

— Niech no się który zbliży, zrobimy mu to samo! — wołano zewsząd.

Ten i ów nie zważając na to, że go dostrzega, podniósł się z miejsca i wygrażał pięścią w kierunku wagonu, w którym jechali konduktorzy.

Mrocki teraz miał sposobność przekonać się, co to znaczy zjednoczyć się, choćby w takim niezbyt godnym pochwały celu jak bezpłatna jazda koleją.

Piętnastu czy dwudziestu ludzi trzymało w postrachu obsługę pociągu; udawała ona, że nic nie widzi, choć ślepy nawet musiałby dostrzec postacie siedzące i stojące na jasno oświetlonych księżycem platformach.

Ci sami konduktorzy, którzy nie wahałoby się wyrzucić z pociągu Mrockiego, gdyby był sam, trzymali się w przyzwolonej odległości od naszych podróżnych. Wiedzieli oni z doświadczenia, jak niebezpiecznie jest ruszać pasażerów, gotowych w obronie swoich miejsc użyć rewolwerów albo noży.

Nieraz też zdarzają się krwawe bójkę między służbą kolejową a takimi włóczęgami, którzy, doprowadzeni do rozpaczki drożyzną biletów, muszą używać siły, aby dostać się do miejsca, gdzie czeka na nich kawałek chleba.

Na małych stacjach, gdzie nie było niko, partia nie ruszała się nawet z miejsca; ale w miastach, rozporządzających telefonami i policją, uciekano się do pewnego manewru.

Oto wynoszono się z pociągu zauważwszy coś podejrzanego, ale jeden pozostawał na straży. Reszta zaś mieszała się z tłumem znajdującym się na dworcu. Jeżeli policja nie zjawiała się — znak, że zarząd kolei nie zamierzał siłą zbrojną pozbyć się bezpłatnych pasażerów — czekano spokojnie odejścia pociągu i wskakiwano na platformy już cokolwiek poza stacją. Trzeba było do tego pewnej wprawy; ale Mrocki, przyzwyczajony dosiadać konia w galopie, niewiele sobie robił z tego ćwiczenia gimnastycznego.

Dalszy ciąg nastąpi

STRZELA MAMA Z ŁUKU...

WIELKIE zawody łucznicze w Warszawie. Na Stadionie Dzieścioclecia największe sławy światowego łucznictwa. Słonko pięknie świeci, kilkadziesiąt ustawionych tarcz i białe sylwetki zawodników. Na siedemnastym stanowisku drobna postać z białą-czerwoną opaską. To mistrzyni świata, dobrze wszystkim znana Maria Mączyńska. Miła, skromna, lubiana nie tylko przez swoje koleżanki, lecz także przez przeciwniczki, które ujmują serdecznością i niezwykłym wdziękiem. Niedaleko stanowiska naszej mistrzyni mały chłopczyk, blondynek bawi się strzałami. Podchodzimy do niego i pytamy, co tu robi. Z dziecięcą logiką odpowiada:

— Bawię się.
— A gdzie jest twoja mama?
Mały brzdąc prostuje się, zadziera hardo główkę i mówi:
— MAMA STRZELA Z ŁUKU.
Rzeczywiście, jak się za chwilę dowiadujemy z ust samej mistrzyni, jest to jej synek Marek. Nie miała go z kim zostawić i zabrała na zawody. Zresztą chłopiec bardzo często towarzyszy jej na treningi i zawody, wie że musi bawić się z tyłu, za stanowiskiem, na którym stoi jego mama.

Nie jest to jedyny przypadek, że zawodniczka znana w całym świecie jest także czułą, kochającą matką. Wszyscy pamiętają wspaniałą lekkoatletkę, Holenderkę Blankers Koen i Australijkę Strickland de la Hunty, które od czasu do czasu przerywały uprawianie sportu, by po urodzeniu dziecka znowu wracać na bieżnię i, ku zdziwieniu laików, uzyskiwać jeszcze lepsze niż poprzednio wyniki, bić nawet rekordy świata. Tak, tak. Fizjologowie i inni specjaliści stwierdzili, że sport nie tylko pomaga w macierzyństwie, ale macierzyństwo bynajmniej nie jest przeszkodą w uzyskiwaniu najwyższych wyników.

Ostatnio otrzymaliśmy wiele listów od Czytelników, którzy zapytywali, dlaczego szybkonoga Polka, Irena Kirszstein-Szewińska nie startowała w kilku kolejnych meczach międzypaństwowych, a przede wszystkim w spotkaniu Europa — Ameryka. Informacje najlepiej zasięgać u źródła. Poprosiłem więc jedną z redakcyjnych koleżanek o przeprowadzenie wywiadu z popularną Ireną. Oto co powiedziała ona na pytanie:

— Co się stało, że nie oglądaliśmy pani w największych imprezach?
— Przyczyny są natury osobistej.

Sport jest wielką pasją mojego życia, ale tak się złożyło, że czas było pomyśleć o sprawach rodzinnych. Jeżeli mam z powyższych powodów zrobić przerwę w startach, chyba rok poolimpijski jest okresem najlepszym. Z uwagą śledziłam dzięki TV przebieg meczu chorzowskiego z ZSRR i NRD oraz spotkanie międzykontynentalne Europa — Ameryka. Startowały tam przecież moje dobre znajome i wielkie rywalki.

— Kiedy znów zobaczymy panią w blokach startowych?

— Myślę, że dopiero w drugiej połowie przyszłorocznego sezonu. Bardzo chciałabym brać udział w rozgrywkach o Puchar Europy. Zrobię wszystko, żeby przygotować się do półfinału. Mam nadzieję, że mi się to uda.

— Na sport przeznaczają pani dużo czasu, teraz ten czas będzie pani miała dla siebie. Jak będzie wykorzystany?

— Na pewno inaczej zorganizuję sobie dzień. Wróciliśmy właśnie z mężem z urlopu. Byliśmy w Kątach Rybackich koło Krynicy Morskiej. Był to mój pierwszy, wspaniały wypocinek od wielu lat. Plaża, słońce, morze i las. Teraz zabieram się do mojej pracy dyplomowej. W czerwcu zrobiłam absolutorium na Wydziale Ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego i teraz została mi tylko ta praca, której tematem są wielostopniowe modele planowania optymalnego. We wrześniu chcę zdać egzamin magisterski, a później będę myślała o pracy zawodowej. Chcę się poświęcić pracy naukowej. Zaczęłam od stażu asystenckiego u prof. Henryka Fiszela na moim wydziale.

Tyle najszybsza kobieta świata. Kiedy już jest mowa o sprawach rodzinnych i mającym nastąpić powiększeniu rodziny, warto choćby krótko zaprezentować męża Ireny — Janusza Szewińskiego. Przed laty próbował on startować na stadionach lekkoatletycznych, nie osiągnął jednak wielkich sukcesów. Znacznie lepiej poszło mu z fotografią. Jego prace, udane fotogramy o tematyce sportowej były nagradzane na konkursach, a przed niespełna rokiem odbyła się w Warszawie wystawa najlepszych jego prac.

Inna znana polska lekkoatletka, Maria Piątkowska przez wiele lat reprezentowała barwy Polski w biegach krótkich i przez płotki. Kiedy jej starszy syn miał kilka lat, stale chodził na treningi i zawody. Zawsze starał się być najbliższą swego mamy i

służyć jej pomocą. Nosił więc wielką torbę ze sportowymi przyborami. Była ona dla niego niejednokrotnie zbyt ciężka, ciągnął więc ją po trawie. Kiedy sympatyczna p. Marysia kończyła bieg, mogła być pewna, że tuż przy mecie czeka na nią jej synek, a razem z nim torba, w której jest dres, ręcznik i pantofle treningowe.

— Ale nie tylko lekkoatletki miały dzieci, które, jak to można obrazowo powiedzieć, „chowały się na stadionie”. Przed kilkunastu laty w reprezentacji Polski w koszykówce grała Wanda Páchlowa. Trenerem zespołu był jej mąż Józef Páchl. Jak z tego wynika, w razie jakiegos meczu oboje musieli na nim być — ona jako zawodniczka, on jako trener prowadzący drużynę. Co zrobić z synkiem Wacusem? Najprostsza sprawa — zabrać go na mecz. W czasie gdy mama grała, Wacusem opiekowały się jej koleżanki, będące akurat w rezerwie. Kiedy następowała przerwa, mama musiała odpocząć, a syn wchodził na boisko. Przez całą przerwę uganiał się za piłką dostarczając mnóstwa emocji publiczności, która z sympatią śledziła sportowe wyczyny kilkulatniego malca. Dzisiaj Wacek jest studentem Politechniki Warszawskiej, jego mama nie gra w koszykówkę, natomiast ojciec zajmuje się szkoleniem polskich reprezentantów w wielu dyscyplinach sportu, gdyż pracuje w Polskim Komitecie Olimpijskim.

I jeszcze jeden przykład. Wioślarstwo jest bardzo trudnym i ciężkim sportem. Przez wiele lat Krystyna Jeziorska z AZS Toruń nie mogła jakoś błysnąć, chociaż trenowała bardzo pilnie. Wysłała wreszcie za mąż, ma już dwóch synów i po kilkulatniej przerwie postanowiła zacząć ponownie. Nie minęło pół roku, gdy Krystyna Jeziorska stanęła na starcie wyścigu eliminacyjnego jedynek o mistrzostwo Polski. Bez specjalnego trudu zakwalifikowała się do finału. Nikt jednak nie liczył, że odegra ona jakąkolwiek rolę. Jej przeciwniczki, znacznie młodsze i trenujące bez przerwy od kilku lat, były ogólnymi faworytkami. Tymczasem zaraz po starcie Jeziorska objęła prowadzenie i do samej mety zwiększała przewagę nad rozpaczliwie starającymi się dorównać jej rywalkami. A gdy prezes Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich udekorował ją już mistrzowskim wieńcem, przyjęła chyba najmiłsze dla niej gratulacje — od męża i dwóch synków.

Wacław KORYCKI



„Mama” — Maria Mączyńska, mistrzyni świata w strzelaniu z łuku

MECZE OSTATNIEJ NADZIEI

Bardzo nerwowe będą dla polskich piłkarzy ostatnie miesiące bieżącego roku. Wiosenne niepowodzenia w meczach z Holandią i Bułgarią sprawiły, że na awans do finału piłkarskich mistrzostw świata w Meksyku został tylko cień nadziei. Co gorsze cień ten nie jest w większym stopniu zależny od Polaków. Decydującym spotkaniem będzie bowiem mecz Holandii z Bułgarią, w którym Bułgarzy muszą przegrać, jeżeli Polakom ma zaświecić promyk słońca. Oczywiście przyjmujemy się w tych rozważaniach, że Polska wygra wszystkie swoje mecze rewanżowe. W tym wypadku sytuacja jest o tyle sprzyjająca, że ostatnie najważniejsze spotkanie odbywa się w Polsce. Ze nie jest to jednak sprawa prosta, dowiódł mecz z Holandią, rozegrany na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Był to prawdziwy mecz nerwów i dramatów. W pierwszej połowie Polacy zagraли bardzo pasywnie, pozwolili przeciwnikom na rozwijanie płynnych akcji i wypracowywanie dogodnych pozycji do oddania celnego strzału. Nic dziwnego, że w 20 minucie Holendrzy już prowadzili 1:0. Poderwało to polski napad, ale obrona gości grała bezbłędnie.

Po przerwie zespół polski zagrał wyśmienicie. To właśnie Polacy nadawali ton grze, oni przeprowadzali szybkie, składne akcje, które kończyli celnymi strzałami. Gdyby w bramce Holandii stał trochę gorszy bramkarz, wynik byłby wysoki. Wyrównującą bramkę zdobył dla Polski Andrzej Jarosik, a wkrótce potem zwycięskiego gola uzyskał Włodzimierz Lubański.

Emocje się jednak nie skończyły. Kiedy publiczność zaczęła już opuszczać stadion, dosłownie w ostatniej minucie gry czechosłowacki sędzia podyktował bardzo problematyczny rzut karny za rzekomy faul bramkarza Huberta Kostki na jednym z następników drużyny przeciwnej. Na tym karnym mogli się skończyć wszystkie nadzieje Polaków, na szczęście jednak zdenerwowany Holender nie trafił do bramki.

Sytuacja w tej chwili jest taka, że Bułgaria nie ma ani jednej porażki, podczas gdy Polska i Holandia straciły już po cztery punkty. 12 października Polska gra na wyjeździe z Luksemburgiem, 22 tego miesiąca Holandia gra u siebie z Bułgarią, 9 listopada Polska przyjmuje w Warszawie Bułgarię, a ostatnie spotkanie tej grupy eliminacyjnej Luksemburg — Bułgaria odbędzie się 7 grudnia.

Ponieważ nie przypuszcza się, by Luksemburg mógł pokrzyżować plany swym przeciwnikom, wszystko zależy od meczów Bułgarii z Polską i Holandią. Dwie przegrane Bułgarów sprawią, że trzy zespoły będą miały po równej ilości punktów i wtedy na neutralnym terenie zostanie rozegrany turniej tych drużyn. Każdy zespół rozegra z przeciwnikami po jednym meczu, bez rewanżu, i na tej podstawie wyłoniony będzie finalistą mistrzostw świata, i to jest właśnie ten promyk nadziei, który jeszcze świeci polskim kibicom piłkarskim.

W. K.

Maria i Edmund Piątkowscy — sprinterka i trener



Irena Szewińska, szybkonoga Polka, spodziewa się dziecka





KACIK FILATELISTY

STROJE LUDOWE

30 września weszła w życie do obiegu seria znaczków (8 sztuk) przedstawiająca polskie stroje ludowe. Stroje ludowe polskie wyróżniają się ogromnym bogactwem form i kolorów. Na znaczkach przedstawiono parami reprezentantów poszczególnych regionów w strojach ludowych:

40 gr — stroje krzeczonowskie z okolic Piotrkowa i Krzeczonowa,

60 gr — stroje łowickie z okolic wsi Sanniki, k. Łowicza,

1.15 zł — stroje rozbarskie z okolic Katowic i Bytomia,

1.35 zł — stroje dolnośląskie z okolic Jedliny, Szklarskiej Poręby i Jeleniej Góry,

1.50 zł — stroje opoczyńskie z okolic Rawska Opoczyńskiego i Opoczna,

4.50 zł — stroje sądeckie z okolic Starego Sącza,

5 zł — stroje góralskie z Podhala w okolicach Zakopanego.

7 zł — stroje kurpiowskie z okolic Ostrołęki, Łomży i Myszycyfa.

Projektantem znaczków jest artystyk Stefan Małecki. Drukowane są wielobarwnym offsetem, na papierze kredowym. Format znaczków 31,25 × 39,5 mm.

em.

Les chanteurs chez nous

JACQUES YVART

Il vous envahit de son mètre 90, pour commencer... JACQUES YVART c'est: vent du large, force tranquille dans la tempête, explosions d'enthousiasme et joie de vivre au soleil, embruns et lames de fond, l'accord parfait de la musique, de la peinture, de la poésie sur un thème unique, la mer.

"Je suis né à Dunkerque, mon père était marin, mon Grand-Père a passé sa vie au large du Cap-Horn, "ceux d'avant"... étaient un peu corsaires, alors je n'ai pas pu complètement y échapper.

Il chante des complaintes du temps de la marine à voile qu'il s'en est allé chercher en Ecosse, en Australie, en Angleterre, et même au Japon, certaines de véritables morceaux d'anthologie sont encore inédites.

Il chante aussi tous les "grands" actuels qui ont écrits sur la mer: Sa première passion: Brassens: "La Marine", René-Louis Lafforgue, "Noël en Mer", Jacques Brel: "Amsterdam", Ferré et Cossimon: "Comme a Ostende", et puis il chante encore: Jacques Yvart et André Devynck. Devynck écrit de si beaux poèmes que Jacques ne les soutient que d'une simple mélodie, la moindre orchestration les altérerait, ils pleurent, chantent ou se désespèrent sans aucune aide. Bien sur, il chante aussi les retours au port, les matelots en bordée, les îles lointaines, les filles qu'il aime... Un poète ne se raconte pas, je n'ai donc rien trouvé de mieux pour vous entraîner dans la vie de tous les jours de JACQUES YVART et André DEVYNCK que de vous transcrire l'un de leurs poèmes:



„LA FEMME AU PERI EN MER”

La femme au péri
En mer, se marie
Sonnez cloches!
Hurlez sirènes!
Elle est toute en blanc
Sa bouche en tremblant
Dit des mots
Qu' on entend à peine

QUI VOIT OUESSANT, VOIT SON SANG,
QUI VOIT MOLENE, VOIT SA PEINE.

La femme au péri
En mer, se marie
Et la nocé à figure étrange
De francs Matelots
Leurs filets sur l'dos
Vont pensifs comme de vieux anges

Devant le calvaire
La femme sévère
A crié: „descends t'da misaine"
Aie pitié de moi
Où est Jean-François
Dis-le moi, Jésus-Capitaine!

La femme au péri
En mer, se marie
Son promis l'attend sous les vaques
Couronné au front
De verts goémons
Et sa main lui tend une bague

Sa bouche est glassée
Elle a embrassé
Cette mer qui vint le lui prendre
"Ah, mon Jean-François
Je viens avec toi"
Dans la mer, on la voit descendre

La femme au péri
En mer, se marie
Sonnez cloches!
Hurlez sirènes!
Elle est toute en blanc
Sa bouche en tremblant
Dit des mots
Qu' on entend à peine.

WYMIENIAMY KORESPONDENCJĘ

DANUTA GÓRNIAK — Lublin, ul. Motorowa 2 m. 19 — jest 13-letnia uczennicą i bardzo chciałaby mieć koleżanki i kolegów we Francji, których może poznać tylko drogą korespondencji. Bardzo prosi o zamieszczenie jej adresu, co z przyjemnością czynimy, życząc miłej Dance wielu korespondentów.

FRANCISZEK RABIŹO — Ksawerów k/Łodzi, ul. Wschodnia 90, woj. łódzkie — pragnie nawiązać korespondencję w języku francuskim z młodzieżą polonijną z Francji i Belgii w celu wymiany znaczków pocztowych, widokówek i zdjęć drużyn piłkarskich.

MAREK RÓG — Kraków, ul. Lenartowicza 21 m 5 — pragnie korespondować z polską młodzieżą mieszkającą we Francji. Ma 22 lata, zna język francuski, interesuje się alpinizmem i speleologią, lubi teatr i film.

ROMAN SENSKI — Świecie n/Wiśła, ul. Nadbrzeźna 2, woj. bydgoskie — chciałby korespondować ze zbieraczami znaczków pocztowych, monet, nalepek hotelowych i prospektów turystycznych. Może korespondować w języku francuskim, angielskim, niemieckim i polskim.

MARYLA SMOLIŃSKA — Olsztyn, ul. Warmińska 21 m 8 — ma 19 lat i jest uczennicą technikum budowlanego. Jej zainteresowania to architektura a poza tym ciekawi ją życie młodzieży polonijnej we Francji i Belgii i na te tematy chciałaby korespondować. Chętnie też wymieni znaczki pocztowe, widokówki i zdjęcia młodzieżowych zespołów muzycznych.

La semaine des Jeunes

J'ai vu la capitale de la douleur universelle



Depuis en bon bout de temps déjà, je médite, tourne et retourne dans mon esprit le sujet que je me propose de traiter aujourd'hui — et ne puis me résoudre à mettre mon bic en marche. Comment, de quelle façon, avec quels mots décrire ce que j'ai vu? Cela peut-il seulement s'exprimer? Comment vous dire exactement ce que j'ai éprouvé, puisqu'il s'en faut de beaucoup que j'y voie clair — dans ce que j'ai éprouvé — moi-même? puis-je tout ce dont je me rappelle, c'est qu'après une heure de visite, je n'en pouvais plus, j'étais comme ankylosée, et que travaillée tout ensemble par une indicible pitié et un immense dégoût, et comme ivre d'épouvante, je me suis mise à pleurer? Et pourtant il faut que je vous en parle. Car il faut en parler. A tous ceux qui n'ont pas vu cela, il faut dire et redire qu'il faut y aller, qu'il faut voir. Surtout si l'on est né après la dernière guerre.

Je vais être franche: avant d'avoir vu Oświęcim, c'est-à-dire Auschwitz — car c'est évidemment de ma visite dans ce camp de la mort que je parle — des mots et des expressions comme „deuxième guerre mondiale,” „génocide,” „camp de la mort”, „nazisme”, „hitlérisme” — tout cela me

paraissait presque aussi lointain, presque aussi purement livresque que, mettons, la Saint-Barthélemy ou la prise de la Bastille. J'étais comme tous les jeunes. Dans le fond, ce qui s'était produit avant ma naissance, je ne le sentais pas, cela ne me concernait pas, c'était l'affaire des vieux et des adultes. Lorsqu'à Varsovie l'on m'expliquait: les hitlériens ont tout détruit, ils n'ont pas laissé pierre sur pierre, je disais oui, je faisais mine de comprendre, mais en réalité je ne saisissais pas, ne réalisais pas. Comment pouvais-je comprendre, puisque tout autour de moi tout était reconstruit, gai, pimpant, plein de vie?

Maintenant que j'ai vu Auschwitz, je comprend toute l'horreur de ces mots et de ces expressions, et je sais qu'ils ne pourront plus jamais ne pas me concerner. Maintenant lorsque je lis que la Pologne fut de très loin la première victime de la guerre, qu'elle était le seul pays dont les nazis eussent entrepris d'exterminer la population, qu'elle devait devenir terre de peuplement allemand, que six millions de Polonais ont été tués pendant la guerre — lorsque je lis cela, je réalise le sens de ces phrases, car je me remémore immédiatement les masses fantasmagoriques, écoeurantes, épouvantables de che-

veux, de brassières d'enfants et de poupées d'Auschwitz. Des cheveux? Oui. Les cheveux des femmes que les nazis ont gézées et brûlées dans les fours crématoires. Les brassières et les poupées des enfants de ces femmes. Comment cela a-t-il pu se produire? Comment des hommes ont-ils pu construire ces chambres à gaz, ces fours crématoires et assassiner méthodiquement, martyriser, avilir, gazer et brûler des millions d'autres hommes? On ne peut pas comprendre. Mais les bourreaux étaient-ils encore des hommes?

J'ai appris qu'un écrivain qui a visité Auschwitz a dit que ce camp est la vraie capitale de la douleur universelle. Nul lieu au monde n'est en effet plus désolé, plus tragique, plus sinistre que cet immense usine génératrice de mort que les nazis construisirent dans une petite ville silésienne. Bien sûr, aujourd'hui Auschwitz n'est plus qu'un musée, mais il sue encore l'épouvante et la souffrance. Il y a toujours les barbelés, la porte d'entrée est toujours là, et l'inscription qui proclame en allemand que „le travail rend libre” aussi, et les miradors, et l'on vous fait visiter une chambre à gaz, on vous montre un four crématoire, les baraquements, les cachots où l'on torturait, le mur où l'on fusillait, et vous, vous regardez, vous

écoutez, vous êtes médusé, paralysé, vous avez envie de vomir, vous vous mettez à chialer comme un gosse...

Le guide — un rescapé du camp — vous dit aussi qu'outre Auschwitz, les hitlériens avaient organisé plusieurs autres camps de la mort en Pologne. A Treblinka ils ont assassiné près de 800.000 personnes, à Bełżec — quelque 600.000, à Chełmno nad Nerem — 360.000, à Majdanek — 200.000, à Sobibór — 250.000... Et puis il y avait encore de camps de concentration tels que Sztutowo (Stutthof), où les prisonniers étaient traités en esclaves, où l'on ne se faisait aucun scrupule de tuer les malades, et où l'on essayait de fabriquer du savon avec de la graisse d'homme...

Je pense aux hommes, aux femmes, aux enfants qui sont morts à Auschwitz et dans les autres camps hitlériens. Comme l'a écrit un poète: „Ni le Christ n'a connu ce terrible chemin”. Il y avait parmi eux des Polonais, des Juifs, des Français, des Russes... Il faut aller voir comment et où ils sont mort. Il faut avoir vu Auschwitz et y avoir pleuré. Pourquoi? Pour changer. Pour mûrir. Pour mieux comprendre la Pologne et le monde où nous vivons.

Je vous fais une grosse bise.

Martine

P.S. — Je voudrais demander à la rédaction de „La Semaine Polonaise” de vouloir bien joindre à mon papier une ou deux photos d'Auschwitz. Merci par avance.

Tylko dla dziewcząt i kobiet Tylko dla dziewcząt i kobiet Tylko dla dziewcząt i kobiet

RADY



od

Serca

DROGA PANI ANNO!

Piszę do Pani nie w sprawie. Chodzi mi o rodzinę siostry i o jej syna. Moja siostra ma lat 56 i siedemnastoletniego chłopca. Jest to dziecko bardzo upragnione, przez wiele lat na próżno oczekiwane i rozpuszczane do niemożliwości. Każda jego zachcianka musi być natychmiast spełniona. Ojciec i matka żyją wprost pod terrorem. Ukochane dziecko mówi: — nie będę się uczyć, jeśli nie kupicie gitary — i natychmiast jest gitara albo rower, albo nowy adapter czy coś innego. Chłopiec słabo się uczy, zaniedbuje szkołę, ale rodzice twierdzą, że jest warty i chorowity. Ja tego nie mogę zrozumieć. Sama mam troje dzieci, są normalne, zdrowe, uczą się, nie kapryszą, rozumieją na co stać ich rodziców, liczą się z nami, razem przeżywamy troski i radości, kupujemy im oczywiście prezenty, ale nigdy nie ośmieliłyby się nas szantażować. Gdy próbuję rozmawiać z siostrą i tłumaczyć jej, jak źle postępuje, obraża się na mnie twierdząc, że ja nienawidzę jej dziecka i zazdrościsz, że im się lepiej powodzi niż mnie. Mówi też, że moje dzieci są inne, a jej syn — inny, bardzo wrażliwy i trzeba z nim postępować specjalnie. Pani Anno, patrzę z przerażeniem na to, co się dzieje u siostry i chciałabym jej pomóc, ale nie wiem jak. Wychowują chłopca na kalekę życiowego i na jakiegoś potwora, niezdolnego do życia i przyjaźni z ludźmi. Już dziś nie ma żadnych kolegów, wszyscy od niego stronią i śmieją się z niego. Czekam na pani rady.

SIOSTRA I CIOTKA

DROGA PANI!

Znam dobrze takie domy, jaki pani opisała. Dzieci-jedynaki, spóźnione, obiekty niezdrowej rodzicielskiej a zwłaszcza matczynej miłości. Z takich dzieci wyrastają bardzo nieszcześliwi ludzie, egoiści, samoluby, zawsze niezadowoleni, niezdolni do pracy, nielubiani. Szczerze mówiąc, w wieku lat siedemnastu trudno rozpoczynać od nowa wychowanie takiego osobnika. Jest on już ukształtowany i to ukształtowany bardzo źle. Wykrzywiony, psychicznie, a nawet fizycznie. Niemniej sędzę, że powinna pani raz jeszcze próbować rozmowy z siostrą albo z jej mężem. Trzeba im

uświadomić, że czynią krzywdę swemu dziecku, które ni by tak bardzo kochają. Tylko takie argumenty mogą odnieść skutek. Nie ręką jednak czy odniosą. Może dopiero twarde życie, gdy zabraknie rodziców, nauczy tego chłopca właściwego stosunku do ludzi, do pracy, do obowiązków. Żeby tylko nie stało się to za późno.

ANNA

KOCHANA PANI ANNO!

Wysłałam za mąż siedemnaście lat temu i po trzech latach małżeństwa mąż mnie opuścił. Dostaliśmy rozwód, nie stawiałam sprzeciwów, bo uważam, że to nie miało by sensu, mąż się ożenił po wtórnie. Ja mam z nim syna szesnastoletniego, a on ma z drugą żoną dwunastoletnią córkę. Stosunki między mną a byłym mężem układają się poprawnie. Spotykamy się, nie mamy do siebie żalu. Co roku mąż zabiera na wakacje mojego syna i spędzają we trójkę, z jego córką parę tygodni. Syn bardzo nie lubi tych wyjazdów. Czuje się skrepowany, ma w głębi serca żal do ojca i myślę, że za zdradzi tej małej. Ja nie mogę odmówić mężowi, gdy prosi o powierzenie mu dziecka, a przy tym sama chcę, by syn ojca nie zapomniał. Chłopiec wyczuwa, że ojciec ma inny stosunek do niego niż do dziewczynki, że jej ciągle coś kupuje, a jemu nie, że jak gdyby go mniej kochał. Mój syn jest wychowany bardzo skromnie. Wiem, że nigdy nie poprosiłby ojca o żadne pieniądze ani o prezenty. Jest ambitny. Na wspólnych wakacjach czuje się zażenowany. W tym roku po przyjęciu dzie wymógł na mnie obietnicę, że już nigdy nie wyślę go z ojcem. Nie wiem co robić i proszę panią o pomoc.

ROZWÓDKA

SZANOWNA PANI!

Ma pani dobrych kilka miesięcy, prawie rok czasu na zastanowienie się. Może w przyszłym roku w ogóle mąż nie ponowi zaproszenia, może tak się ułożą warunki, że nie trzeba będzie tej sprawy poruszać. Dlatego na pani miejscu na razie nic bym nie mówiła, żeby nie stwarzać niepotrzebnych zdrażeń. Na pewno pani mąż ma jak najlepsze intencje. Chce być z synem, chce mu coś z siebie dać. Czuje się w jakiś sposób winny w stosunku do chłopca. Sądję, że nie zamierza pani zrażać syna do ojca, bo przecież byłoby to nierozsądne. Trzeba więc trochę lawirować, prowadzić sprawy dyplomatycznie, nie stawiać nigdy problemów na ostrzu noża. A synowi powinna pani także wytłumaczyć, że odmowa wyjazdu sprawiłaby ojcu wielką przykrość.

ANNA

A jednak spodnie!

Spodnie dalej królują. Choć pesymistki przepowiadały krótki żywot tej męskiej modzie, ugruntowała ona swoje pierwszorzędne miejsce, a garniturek stał się niezbędnym elementem garderoby modnej, nowoczesnej kobiety. Noszą go panie w wieku od kilkunastu do kilkudziesięciu lat. Kontynuując prezentację ostatniej kolekcji „Mody Polskiej” proponujemy Paniom dwa garnitury z myślą o popołudniu i wieczorze. Pierwszy uszyty jest z czarnego aksamitu. Spodnie przylegające na biodrach rozszerzają się ku dołowi; szerokie, dość długie, kończą się (uwaga, nowość!) mankietem. Ze względu na specyfikę tkaniny, spodnie nie są zaprasowane w kany, tworząc linię rozszerzającej się tuby. Zakłęt jest bardzo skromny, prosty. Wcięcia w pasie, również stosownie do linii spodni, u dołu jest poszerzony. Obowiązkowa długość to 20 cm powyżej kolan. Posiada

dwie nieduże, nakładane kieszenie na dole i jedną malutką, naszytą bardzo wysoko przy lewym barku. Rękawy są wąskie, wykończone małymi, błyszczącymi guzikami. Na takie same guziki zapięty jest żakiet. Ten bezpretensjonalny i elegancki garniturek uzupełnia jedwabna biała bluzka ozdobiona drobnymi szczypankami. Wysoki kołnierzyk podwiązany jest błyszczącą taftową kokardą.

Drugą garnitur jest mniej wizytowy, przeznaczony na tzw. każdą okazję. Uszyty z szarej miękkiej flaneli nadaje się na chłodniejsze dni. Luźna, tylko lekko wcięta w pasie bluzka, pozwala na dodatkowe włożenie cienkiego ciepłego sweterka. Bardziejawangardowy styl nadaje temu garniturowi modny w tym roku szeroki, długi szal z jedwabnej, błyszczącej tkaniny i sznur nieregularnych pereł zawieszonych na szalu.

KRYSTYNA



Głos lekarki

FIZYKA SIÓDMEGO POTU

W wielu krajach urlopowicze nie mogli narzekać w mijającym lecie na brak upałów. Przeciwnie: marzyli niekiedy o chłodnym wietrze i przejściowych opadach. A przecież są ludzie, którzy stale pracują w temperaturze dochodzącej czasem i do 70°C, np. hutnicy zatrudnieni przy wytopie stali, szkła lub wypalaniu produktów mineralnych.

Czy organizm człowieka może prawidłowo funkcjonować w tej temperaturze i jak broni się przed naruszeniem jego równowagi cieplnej?

Wysoka temperatura otoczenia powoduje szereg zmian w fizjologicznych czynnościach ustroju. Rozszerzają się naczynia krwionośne i zwiększa się przepuszczalność skóry dla wody, przyspiesza się czynność serca, obniża się natężenie ciśnienia krwi, co znacznie obciąża układ krążenia. Zmniejsza się ilość wydalanego moczu i staje się on bardziej zakwaszony. Wydalane są z moczem znaczne ilości chlorków, co z kolei przyczynia się do odwodnienia organizmu.

Po parodniowym działaniu wysokiej temperatury obserwuje się zmniejszenie ilości hemoglobiny w czerwonych krwinkach. Maleje także ilość białych krwinek, co z kolei zmniejsza odporność na wszelkie zakażenia. Centralny układ nerwowy działa mniej sprawnie w wysokiej temperaturze. Wydajność pracy maleje, człowiek staje się ociężały, senny. Obniża się także reaktywność nerwowa, co może być przyczyną nieszczęśliwych wypadków w pracy.

Przy wysokiej temperaturze — i jednocześnie dużej wilgotności otaczającego powietrza — występuje, nawet u zupełnie zdrowych osób, nieprzyjemne uczucie duszności. Jest ono wynikiem znacznego utrudnienia w tych warunkach parowania przez skórę. Komfort termiczny — czyli

dobrze samopoczucie człowieka i zdolność do dłuższego wykonywania pracy — istnieje przy temperaturze ok. 22°C, wilgotności ok. 50% i ruchu powietrza ok. 10 cm/sek. Jeżeli człowiek jest wtedy lekko ubrany i wykonuje niezbyt ciężką pracę fizyczną. Zachowanie stałej temperatury ciała i utrzymanie tego komfortu termicznego przy niesprzyjających warunkach zewnętrznych, np. w zbyt wysokiej temperaturze, jest jednym z podstawowych warunków prawidłowego funkcjonowania całego organizmu.

Ustrój człowieka posiada szereg mechanizmów zabezpieczających go przed przegrzaniem. Jak dalece sprawne są te mechanizmy, świadczy chociażby fakt, że ludzie mieszkający stale w umiarkowanym klimacie po przybyciu np. do stref podzwrotnikowej, po okresie klimatyzacji, potrafią prowadzić normalny tryb życia, wypelniony nieraz ciężką pracą.

Temperatura ciała zdrowego człowieka jest stała, wynosi ok. 37°C. Jest ona wynikiem równowagi między wytwarzaniem ciepła w tkankach, pobieraniem go z zewnątrz oraz jednoczesną utratą ciepła do otaczającego środowiska. Mechanizm regulacji cieplnej prawdopodobnie przestaje działać, jeżeli wewnętrzna temperatura ciała spadnie poniżej 24°C.

W normalnej temperaturze ok. 35°C utraty ciepła przypada na przewodzenie, promieniowanie, przenoszenie i parowanie wody. Szybkość ochładzania ciała ludzkiego w ten sposób zależy od temperatury otaczającego powietrza, jego ruchu i wilgotności, od rodzaju ubrania, a także od ilości ciepła wytwarzanego przez organizm w trakcie procesów energetycznych.

W wysokiej temperaturze otoczenia, kiedy organizm nie może wydzielać ciepła na zewnątrz, występuje uczucie nieznośnego gorąca i zmęczenia, sytuację taką nazwano „stressem cieplnym”. Dłuższe narażenie na działanie stresu cieplnego może być śmiertelnym niebezpieczeństwem dla człowieka.

Tracimy ciepło całą powierzchnią skóry. Ubranie i zawarte

między nim powietrze stanowi doskonałą izolację cieplną. Podobną rolę spełnia też warstwa tłuszczu podskórnego. Toteż ludzie otuli znacznie gorzej znoszą wysokie temperatury i łatwiej ulegają przegrzaniu aniżeli chudejsze. Ruch otaczającego powietrza wydatnie przyspiesza ochładzanie. Utrata ciepła zwiększa się proporcjonalnie do kwadratu szybkości ruchu powietrza (wiatru) aż do szybkości 100 km/godz. Utrata ciepła przez parowanie w normalnej temperaturze wynosi ok. 35% całkowitej utraty ciepła przez organizm. Natomiast w temp. 35°C prawie całkowita utrata ciepła odbywa się na drodze parowania.

Szybkość parowania zależy od stopnia nasycenia otaczającej atmosfery wilgocią. Pot, który nie wyparowuje, ale spływa kroplami po skórze, nie zwiększa utraty ciepła, nie chłodzi. Stąd też ochłodzenie przez parowanie zawodzi, jeżeli jednocześnie jest duże nawilżenie powietrza.

W powietrzu zupełnie suchym i wietrznym człowiek może wytrzymać nawet temperaturę rzędu 115–120°C, a jest to przecież temperatura, przy której można usmażyć befsztyk! Silne pragnienie i picie płynów zapewniają wtedy obfite poty, a z kolei odstąpienie znacznej powierzchni skóry i powiewy wiatru przyspieszają parowanie potu — i tym samym chłodzenie. W atmosferze wilgotnej natomiast, już temperaturę 55°C może znieść człowiek w ciągu zaledwie kilku minut.

Przy intensywnych potach ustrój traci duże ilości chlorku sodu i potasu — a są to sole mineralne niezwykle ważne dla prawidłowych funkcji życiowych. Stąd przy silnych potach należy gasić pragnienie wodą lekko osoloną.

Znajomość fizjologicznych mechanizmów obronnych przed nadmiernym przegrzaniem pozwoliła na opracowanie i stosowanie różnych metod chroniących przed działaniem stresu cieplnego. Stąd przy silnych potach należy stale musnąć pracować w wysokich temperaturach.

Dr Danuta BOBROWSKA





Nasze zespoły

O ŚLĄZAKACH Z LYONU

Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” z Lyonu ma już ustaloną markę. Nazwę przyjął od Ślązaków — emigrantów polskich zamieszkujących w okolicach Lyonu, a wywodzących się spod Opoli. Zespół powstał w 1955 roku. Niedługo więc będzie obchodzić swoje 15-lecie. W ciągu tego czasu zespół uczestniczył w licznych uroczystościach i imprezach artystycznych. W 1958 r. wziął udział w konkursie zespołów polskich we Francji w **Escaudain**, zorganizowanym przez Stowarzyszenie „France-Pologne”, gdzie zdobył pierwszą nagrodę.

W 1959 r. lyoński „Śląsk” wysunął się na czoło podczas występów w **Marles-les-Mines**, a w 1960 r. w **Sal-luamines**, gdzie otrzymał **puchar Ambasady PRL**. W 1961 r. uczestniczył w **Festiwalu Ludowych Zespołów Arty-**

stycznych w Łodzi. W następnych latach występował w **Annemasse** i w **St. Etienne**, a także w innych miastach



Francji, jak: w **Bourg, Brives, Toul, Alès, Péagede-Roussillon, Saint-Etienne, Tour-du-Pin**.

Największym sukcesem „Śląska” było zdobycie pierwszej nagrody na **Ogólnofrancuskim Festiwalu Zespołów Folklorystycznych** w 1964 r.

Kierownikiem zespołu jest **Kazimierz Młot**, a choreografem **Lilly Misiaczek**.

LISTY *Józefa Grzybka*

PANIE REDAKTORZE!

Na placu przed kopalnią posuwicie się szeszcza pod stopami przechodniów żółtkie liście. Przechodnie są nieliczni, bo dokuczliwa wietrzna mokrość wygania ludzi z ulic. Niebo powlokło się otowiem, świat zszarzał. Czasami zajaśnieje jeszcze wprawdzie słońce, ale lepiej się już teraz bez kapoty i bez parasola na miasto nie wypuszczać. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Zmoknie człowiek i katarzysko gotowe. Rano wisi nad ziemią sina mgła. Posmutniały ogródki. Ledwośmy, widzicie, zdążyli ochłonąć z wakacyjnych emocji, a tu już podkradła się do nas jesień.

Ponieważ zaraz po obiedzie chmury trochę się przejaśniły i zrobiło się jakby trochę cieplej, więc wyszedłem sobie na spacer. Bez wnuczka tym razem, bo wnuczek już teraz chodzi do ochronki. Trochę się z tego powodu czuję osamotniony, ale z drugiej strony czas już był najwyższy, żeby z tym dzieckiem coś zrobić. Taki się w ostatnich czasach zrobił z niego „rojber”, jak to się u nas mówi, taki wisus, tak już wojował, że to ludzkie pojęcie przechodziło. Akurat tak jak ja, kiedy byłem mały. Niedawno temu zagustował nagle w gryzmoleniu. Nic, tylko całymi dniami bazgrał i bazgrał, i u-stawicznie nagabywał mnie o papier. Chcąc mieć spokój, poszedłem po rozum do głowy i dałem brzdącowi cały nowiutki kajet. „Jak już zapaprze cały ten zeszyt, to go chyba wreszcie ta dzika ochota do gryzmolenia odejdzie!” — myślałem sobie w duchu. Oczywiście, stało się akurat odwrotnie. Kiedy mu się zeszyt skończył, wnuczątko moje najukochańsze zaczęło się rozglądać za nowymi papierami. Jak na złość, wybór jego padł na teczkę, w której przechowuję listy od Czytelników i wycinki z gazet. Ponieważ mnie nie było wówczas w domu (a żona, choć była, to widocznie bujała w obłokach), więc jał się w tej mojej teczce rzadzić jak szara gęś. Kiedy wróciłem, zastałem go zajętego zabazgrzaniem jakiegoś listu. Aż mi ze złości dech zaparło. Podchodzę bliżej, patrzę: Jasne, że gryzmoli smarkacz po liście. Po liście od Czytelniczki z **Blanc-Mesnil**, p. Hieronima Strzemiennego. Adres jest już kompletnie zamazany! Jak ja teraz wyglądam? Jak ja temu człowiekowi odpiszę?! Wpadłem w pasję:

Emigrancka jesienna tęsknota

— Toś taki, gałganie jeden! — zawołałem. — Sabotaż ci pachnie. Czekaj no, paskudniku, czekać, ty mały pieronku, ja ci pokażę!

Chciałem go złoić, ale zaraz wmie-szała się w sprawę żona:

— Wara ci od tego niewinnego dziecka, kacie jeden! — wrzasnęła. — Przypomnij sobie, jakieś sam dokazy-wałeś, kiedy byłeś mały! Sam mi przecież mówiłeś, że tak broiłeś, że to już było coś niemożliwego! Czego ty chcesz od tego chłopca? Wdał się w ciebie! Niedaleko pada jabłko od jabłoni!

Co miałem robić? Wcisnąłem ze zło-ści beret na oczy i wyszedłem na ogród. Mam nadzieję, że p. Strzemienny — któremu serdecznie dziękuję za miły i ciekawy list — nie pogńiewa się na mnie o to, że odpisuję mu nie prywatnie, tylko na tamach „Tygodnika”. I on także, jak wynika z jego listu, jest dziadzią, więc chyba zrozumie moje położenie.

Wracamy do rzeczy. Powiadam więc, że zaraz po obiedzie wyszedłem sobie na spacer. Na placu przed me-rostwem spotkałem starego Dudzińskiego. Poprzyglądaliśmy się stawiają-cym jesienny „dukas” „dukaśnikom”, pogwarzyliśmy. O tym, że szykują się człowiekowi nowe wydatki, bo na zimę trzeba będzie kupić parę cetnarów węgla i „pyrek”, o „dąbkach”, czyli o chryzantemach (do Wszystkich Świętych jest jeszcze wprawdzie kawatek czasu, ale kto chce mieć ładne „dąbki”, ten musi o nie dbać cały czas, a nie dopiero przed samym Świętem Zmarłych, no nie, koledzy — ogrodnicy?), itd.

Dudziński pomaszzerował następnie do „biura tabac” po papierosy, a ja skierowałem się za hałdę, w pola. I tam właśnie mnie to wzięło.

Co takiego? A bo ja wiem, jak to nazwać? Może: emigrancka jesienna tęsknota. Nagle ni stąd, ni zowąd, stanęła mi przed oczami Polska. Doszedł mnie na nowo ten sam zapach pieczonych ziemniaków, który w okresie naszego dzieciństwa rozchodził się u nas pod jesień po cnych podwórzach — pamiętacie? Na nowo ujrzałem snu-jące się ponad szerniałe łęciny ziemniaczane białe dymy ognisk pastu-szych. Jak przed wielu, wielu laty, rozpostarła się przede mną tak różna od francuskiej złota jesień polska. Wy-dało mi się, że znowu jestem tam, u

nas, że chodzę po swojej wiosce, i czar tego zwidzenia zaciążył mi na sercu jak kamień młyński. Wydato mi się, że stoję piersią w pierś, oko w oko z purpurą i świetlistością polskiego września, z kaszaniem rosnącym przed domem, w którym się urodziłem, i że w łagodnym poszumie tego kochanego drzewa odzywa się głos pytający: „Wróciliście? Nie wróciliście?”

Nie, nie wróciliśmy i nie wrócimy nigdy. Już na zawsze zostaniemy tu-taj, na tej ziemi francuskiej, gdzie przed laty znaleźliśmy pracę i chleb, którą pokochaliśmy i na której opada z nas teraz życie jak jesiennie liście. Nie polska, tylko francuska ziemia o-tuli nas, gdy zamkniemy oczy. Tak ułożyło się nasze emigranckie życie. I właśnie dlatego, że wiemy, iż nigdy już do Niej na stałe nie wrócimy, tak ogromnie tę Polskę kochamy. Dlatego teraz, w okresie kiedy wiek schyla nas ku ziemi, taka czasem omota nam serca tęsknota, że potrafimy Ja, Oj-czyznę, sobie wyczarować jak żywą.

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek
z Nordu

§§ Mecenasa radzi

Pan S. R. METZ.

Mój znajomy miał wypadek samochodowy. Sprawca wypadku nie został pociągnięty do odpowiedzialności przez władze. Jak należy postąpić w tej sprawie?

Istnieje możliwość wprowadzenia sprawy na drogę karną, ponieważ sprawa nie była sądzona, lub wniesienia sprawy o odszkodowanie do Sądu Cywilnego. Zwracamy jednak uwagę, że na drogę karną należy kierować sprawę, co do których nie ma żadnej wątpliwości. Jeżeli wina (która w sprawach wypadków stanowi przestępstwo-bleasures ou homicides par imprudence) nie jest wyraźnie ustalona, podsądny może być uniewinniony „acquitté au bénéfice du doute”.

Pozostaje zatem postępowanie cywilne na podstawie art. 1382 i 1384 § 1 Kodeksu Cywilnego. Art. 1382 nakłada obowiązek do reparacji krzywdy na tego, z czyjej winy była ona wyrządzona. Wedle art. 384 § 1, jeżeli nawet żadna wina nie została popełniona, właściciel samochodu może być uważany za odpowiedzialnego cywilnie. Powyższy artykuł przewiduje, że każda osoba jest odpowiedzialna za szkody przez nią wyrządzone lub przedmioty pozostające pod jej nadzorem. Odnosi się to również do samochodów.

Skutki domniemania winy ciążyą na sprawcy wypadku. Do niego więc należy, o ile uważa się za niewinnego, przeprowadzenie dowodu, że wypadek nastąpił z innej przyczyny aniżeli z powodu wozu, który prowadził. Jeżeli dwa wozy się zderzą, wówczas każdy z kierowców korzysta z domniemania odpowiedzialności przewidzianej art. 1384. Jeżeli żaden nie ponosi winy, wówczas każdy z nich jest odpowiedzialny za szkody, wyrządzone drugiemu.

RADIOODBIORNIKI ■ TELEWIZORY

■ Lodówki, maszyny do prania

i inne artykuły gospodarstwa domowego ■

LENG-PICARD ET C-ie

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy

Telefony: 73.39.43, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)

„DZIEŃ POLSKI” NA TARGACH W STRASBURGU

Na europejskich targach w Strasburgu odbył się „Dzień Polski”, podczas którego zorganizowano kilka spotkań miejscowych działaczy politycznych i gospodarczych z przedstawicielami naszego handlu zagranicznego. Polska bierze już po raz piąty udział w tej regionalnej imprezie zaliczanej do najważniejszych we Francji.

W tegorocznych targach strasburskich uczestniczą m. in. Związek Radziecki, Węgry, Japonia, NRF, Belgia i Holandia.

Polska prezentuje w stoisku informacyjnym Izby Handlu Zagranicznego wyroby przemysłowe precyzyjnego, produkty rzemieślnicze i artykuły gospodarstwa domowego.

Z okazji „Dnia polskiego” ukazały się w prasie

alzackiej liczne artykuły, zaś strasburskie radio i TV przeprowadziły wywiad z radcą handlowym PRL w Paryżu J. Dziubińskim.

Warto dodać, że deputowani z grupy francusko-polskiej Zgromadzenia Narodowego, którzy przebywali ostatnio w Polsce pod przewodnictwem deputowanego M. Poniatowskiego, po powrocie do Paryża mówili z dużym uznaniem o polskich możliwościach eksportowych.

CATTENTON. Za piękny ogród wyróżnienie okręgowe uzyskał p. Otto Bojczuk.

KONKURSY OKWIECONYCH DOMKÓW

HAILLICOURT. Ostatnio lokalne jury ogłosiło wyniki tegorocznego konkursu. W kat. pierwszej nagrodę główną otrzymał p. Tomasz Kasperski, 53, ter. rue du 1 Mai, czwartą p. Edmund Borowski, 55, rue du 1 Mai. W kat. czwartej nagrodę trzecią przyznano jury p. Razny, 25 rue des Merles i p. Myszkowskiemu, 15, rue des Merle (ex aequo).

MONTCEAU-les-MINES. W zorganizowanym przez zarząd miejski konkursie domków i ogrodów w kategorii pierwszej p. Edmund Skrzypczak zajął miejsce 2, p. Edward Węsieł — 11, p. Cezar Marciniak — 14.

ODZNACZENIA MEDALAMI PRACY

WINGLES. Z okazji święta narodowego Francji zostali odznaczeni srebrnymi medalami pracy: p. Jan Dziadek, p. Jan Krzysztofik, p. Włodzimierz Osmak, medalami złotymi p. Wawrzyniec Pogorzelec, medalami vermeil: p. Andrzej Chmielewski, p. Józef Bober i p. Wawrzyniec Pogorzelec.

ANNAY-sous-LENS. Srebrny medal pracy otrzymał ostatnio p. Kazimierz Nowacki.

LEFOREST. Wśród ostatnio odznaczonych honorowymi medalami pracy znaleźli się p. Zygmunt Andrzejczak, p. Władysław Archacki, p. Józef Ciesielski, p. Lucjan Gutowski, którzy otrzymali srebrne medale, oraz p. Marian Andrzejczak, p. Władysław Kula, p. Franciszek Ratajczak i p. Józef Swiról, wszyscy odznaczeni medalami vermeil.

DOUVRI. Medalem srebrnym został odznaczony p. Emil Laniak.

KACIK HODOWCY GOŁĘBI

NOEUX-LES-MINES. Rezultaty roczne miejscowego stow. „Club Colombophile”. W serii „vieux en-dessous de Paris” p. Spychała jest 5, p. Górniczy 13, p. Pyrek 15 i p. Szulc 17. W zestawieniu ogólnym największej ilości zdobytych nagród p. Górniczy zajmuje miejsce 7, p. Spychała 10, p. Pyrek 16. W serii „au-dessus de Paris” p. Spychała jest pierwszy, a p. Górniczy drugi.

MARLES-LES-MINES. Zestawienie roczne laureatów stow. „La Siège Unique”. W zestawieniu największej ilości nagród p. S. Karolak jest 18, a w serii „deux premières bagues — vieux en dessous” 8.

COLONNE-RICOUART. W zestawieniu całorocznym największej ilości nagród stow. „La Siège Unique” p. Władysław Michalski zajął miejsce 4, a p. Stanisław Specjół 6. W serii „plus de ler prix” zwyciężył p. Wincenty Markowiak i p. Feliks Domagała. W kat. gołębi 1969 r. p. W. Markowiak jest 2, p. W. Michalski 3 i p. F. Domagała 3, a p. Specjół 8. Dorożna wystawa stowarzyszenia zostanie zorganizowana w dniu 23 listopada br.

AUBERCHICOURT. Konkurs zjednoczonych stowarzyszeń gołębiarskich w Angerville wygrał p. Łukowiak zajmując miejsce pierwsze i 5. Miejsce 3 zajął gołąb p. Włocha z Ecailon, a 13 p. Mazzińskiego z Montigny. Ilość gołębi sklasyfikowanych — 125.

DYPLOMY ZAWODOWE

MONTCEAU - les - MINES. W związku z zamykaniem kopalni byli górnicy przechodzą przeszłości zawodowe, które pozwala im stać się fachowcami w innej dziedzinie. I tak np. p. Stanisław Włosik z St. Vallier, p. Raymond Boczek z Rozelay uzyskali dyplomy CAP w zakresie spawania elektrycznego, a p. Franciszek Włosik z St. Vallier w zakresie mechaniki ogólnej. Wszyscy uzyskali dyplom „avec mention bien”.

BREVET NAUTIQUE

BRUAY-en-ARTOIS. Klub żeglarski zorganizował w czasie wakacji konkursy na dyplomy „brevet nautique” dla młodzieży. Dyplomy otrzymali: Nadine Rojewska z Houdain; Marc Smyk z Bruay; David Szarzewski z Bruay; Christine Król z Houdain; Annie Nowacka z Bruay; Christian Dudyk i Daniela Smielewska z Haillcourt i Stanisław Rosiecki, Fryderyk Michalski, Claudine Muszkieta z Bruay; Jan Stasiak z Divion, J. Frankowiak z Ruitz; Viviane Jasiemska z Houdain; Jean-Marc Zielinski z Calonne; Patrycja Łukowiak z Haillcourt; Pascal Barteki, Patrycja Barteczka, Stanisław Roziński, Jean-Claude Przendzik, Nadine Grzędzisz, Jean-Claude Pluta, Claudine Muszkieta, mistrzyni Christiane Mikołajczak, Daniel Przendzik, Christiane Wiśniewska i Maryline Zaworska — wszyscy z Bruay.

Gdy zmieniamy adres...

Do „Tygodnika” napływają bardzo liczne listy zawiadomieniem o zmianie adresu naszych Czytelników. Niestety, podając nam swój nowy adres bardzo często Czytelnicy zapominają o podaniu starego. Powoduje to poważne trudności dla naszej administracji i konieczność szukania karty abonenta wśród tysięcy innych we wszystkich departamentach.

Dlatego więc prosimy uprzejmie wszystkich przeprowadzających się, aby komunikując nam zmianę miejsca zamieszkania podawali laskawie obydwa adresy — stary i nowy. Ułatwi to nam bardzo naszą pracę.

Z góry dziękujemy.



ODZNACZENIA GÓRNIKÓW

DOUAL. Z okazji zbliżającego się święta górniczego zostali odznaczeni srebrnymi medalami pracy:

FOSE DEJARDIN: p. Józef Janasiak, p. Ludwik Koniczny, p. Antoni Dominiczak, p. Leon Harenza, p. Lucien Karbowski, p. Lucien Kucharski, p. Józef Mikołajczak, p. Józef Orwat, p. Eugeniusz Sporysz, p. Edward Woźniak.

FOSE BONNEL: p. Zdzisław Baryla, p. Henryk Jananiak, p. Bernard Jasiński, p. Stefan Miedziak, p. Józef Jablonski, p. Jan Kolanowski, p. Edward Michalikiewicz, p. Stefan Patalas, p. Stefan Rutkowski, p. Wiktor Sobczak.

FOSE BARROIS: p. Józef Glinkowski, p. Ryszard Kulik, p. Emil Libarda, p. Franciszek Mielczarek, p. Edward Nowak, p. Marian Sobkowski, p. Franciszek Sroga, p. Józef Szerka, p. Antoni Wawrzyński, p. Henryk Komina, p. Henryk Kuczma, p. Józef Minta, p. Jan Ostrowski, p. Władysław Smigielski, p. Józef Stasiak, p. Stefan Szturkowski, p. Kazimierz Szymutko, p. Józef Tutek, p. Józef Zuk.

FOSE LEMAY: p. Lucien Hardy, p. Bronisław Kasztański, p. Edmund Rzepecki, p. Józef Skibiński, p. Wojciech Szymkowiak, p. Florian Wasielewski, p. Henryk Ziemiak.

Z ŻYCIA TOWARZYSTW

BULIŚCI

BRUAY-en-ARTOIS. Z okazji święta lokalnego w dzielnicy nr 3 miejscowi buliści zgrupowani w stow. „Renouveau” urządzili konkurs w trzech kategoriach. W kat. o nagrodę komitetu p. Ratajczak zajął miejsce 6. W kat. o nagrodę stowarzyszeń p. F. Jambrzyk był 4, a p. S. Sołiński 5.

MONTCEAU-LES-MINES, MAGNY. Tylko 32 pary graczy zostały dopuszczone do konkursu stow. Amicale Boule, kierowanego przez p. Jankowskiego. Finał wygrała para p.p. Dufay-Burgard. W ćwierćfinale i półfinale odpadli m. in. p. Biatnik (Lyon), p. Noga (Châlon), p. Ratajski (Rozelay).

LA SAULE. Lokalny konkurs wygrała para p.p. Kaczmarek-Swoboda, zwyciężając tradycyjnym już zwyciężającym najlepsze pary miejscowe. Osiągnęli oni pkt. 52-17. Następni parami byli d.p.p. Kumorek-Fabiszak 52-28, d.p.p. Tuliniński-Woźniak 49-43, d.p.p. Dolgofotr-Talukowski 48-28, p.p. Bezdard-Ciosmak 46-30, p.p. Konop-Czaliński

B. DOWOJNA-BIENAIME

TLUMACZKA
PRZYSIĘGA
PRZY WYŻSZYCH
SADACH W PARYŻU
Tłumaczenia urzędowe
ważne w całej Francji
23, quai de la Tournelle
PARIS (5^e)
TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE

FOSE DE SESSEVALLE: p. Ignacy Kruszek, p. Leon Mroziak, p. Eugeniusz Siciński, p. Henryk Wiśniewski, p. Leon Zwoniarz, p. Zdzisław Galus, p. Leon Gluma, p. Bogusław Parylak, p. Franciszek Wojcisiński.

FOSE DELOYE: p. Stanisław Pusiecki, p. Franciszek Wilczyński, p. Leon Zwoniarz, p. Wilfred Frankowiak, p. Gerard Knopisz, p. Edward Konarkowski, p. Stefan Kubiak, p. Kazimierz Minok, p. Czesław Niespodziany.

FOSE DECHY: p. Franciszek Gejdos, p. Stefan Kubiak, p. Antoni Kwiatek, p. Tadeusz Madaliński, p. Franciszek Zamysławski, p. Michał Kasprzak, p. Józef Pietrowski, p. Georges Szuyster.

FOSE NOTRE-DAME: p. Stanisław Błak, p. Stefan Koralewski, p. Ludwik Krasowski, p. Jan Małolepszy, p. Jan Pawelczyk, p. Stanisław Pławny, p. Tadeusz Sorek, p. Józef Szczyba, p. Edmund Woźniak, p. Maksymilian Zimowski.

WYRÓŻNIENIA MUZYCZNE

BILLY-MONTIGNY. W tu-tejszej szkole muzycznej, prowadzonej przez Société Symphonique, otrzymali na podstawie wyników egzaminów, przeprowadzanych ostatnio w klasie solfeżu — kurs przygotowawczy — dyplomy honorowe: Edyta Tyrakowska, Andrzej Chmielewski, Isabelle Drajczek, Nelly Cieślak, Franciszek Nowak, Anne-Marie Bak, Filip Kapitaniuk, Didier Kujon, Christiane Matuziak, Nadine Kolińska, Gérard Skaradek, Kentia Szymczak, Daniela Basek, Myriam Sierota, Edith Szymczak; na kursie w I roku: Danielle

Chudzińska, Zenon Nitkowski, Daniel Kapitaniuk, Daniela Baranowski, Michał Karpik, Annie Śniecińska, Elisabeth Sznatkowska, Michèle Mazek, Jean-Pierre Baranowski, Elżbieta Pichoń; na kursie elem. II roku: Nicole Filip Dziuła, Gényviève Knechsztych, Jean-Pierre Dopierała, Christine Knechciak, Fiaciak, Dominique Mendyk; na kursie średnim I roku: Elisabeth Rudnik, Monique Swidurski, Monique Stokłosa, Jacqueline Droń; na kursie średnim II r.: Brigitte Kazmierczak, Edward Kubacki. W klasie gry na fortepianie: Monika Stokłosa, Elżbieta Rudnik, Jacqueline Droń, Brigitte Kazmierczak, Monique Swidurski i Fryderyk Knechciak. W klasie gry na skrzypcach: Nicole Filsztych, Michał Karpik, Jean-Pierre Dopierała, Dominik Mendyk, Denéviève Knechciak.

ODZNACZENIA ZA ODWAGĘ

DOUAL. Za odwagę i przytomność umysłu wykazaną w czasie pełnienia obowiązków w zakresie pożarnictwa, zostali ostatnio odznaczeni przez Ministerstwo do Spraw Ludności p. Kazimierz Bryła z Douai oraz p. Kazimierz Wylega z Thumeries w zakresie bezpieczeństwa drogowego.

NAGRODY ZA PIĘKNE OGRODKI

OIGNIES. Association des Jardins. Ouvriers ogłosiło wyniki konkursu na cały okręg. Nagrodę czwartą otrzymał p. Stefan Ożarowski z Ostricourt, 5 p. Stanisław Matyla z Ostricourt, 6 p. Stanisław Krawczyk z Wahagnies, 8 p. Jean Kowalczyk z Libercourt, 9 p. Władysław Maik z Oignies.

UCKNAGE. Nagrodę pierwszą za udekorowany kwiatami dom i ogródek otrzymał ostatnio p. V. Remelski.

NASZA KRONIKA RODZINNA

NIECH ZDROWO ROSNĄ!

Rodziny naszyci Rodaków powiększają się. Ostatnio urodzili się:

LIEVIN: Jackie Rogoziński, AVION: Patrick Michalik, Freddy Kuraś, HENIN-LIEVARD: Bruno Gibowski, Fryderyk Sokółowski, David Pasiak, BRUAY-en-ARTOIS: Laetitia Beugin, córka Jana i Chantal z domu Buszyk, DOUAL: Agnieszka Szajkowska, BLANZY-les-MINES: Denis Wilczyński, BETHUNE: Romuald Mikula, Michał Mikula, Ludwik Buchwald, syn Waldemara i Janiny z domu Urbanik, MONTCEAU-les-MINES: Fryderyk Pawlak.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszymi!

STO LAT DLA NOWOŻEŃCÓW!

Z przyjemnością informujemy o zawartych ostatnich związkach matżeńskich:

BRUAY-en-ARTOIS: Helena Krzynowska i Georges Dufay, NOYELLES-GODALT: Anita-Janina Książek i Bruno Poradka, Roselyne-Rosalie Snoch i Bernard-Henry Koralewski, Nadine-Bernadette Nowak i Gérard-Józef Michałowski, SANVIGNES-les-MINES: Martine Moczyńska i Maurice Des-

champs, AUTUN: Marie-Louise Mazur i Raymond-Maurice Breton, MONTIGNY-en-OSTREVENT: Denise Pinelle i Jean-Claude Grodzicki, NOEUX-les-MINES: Irena Pietrucha i Marc Priem, WAZIERS: Daniela Majcherek i Eric Cuvelier, SAINTS-en-GHELLE: Annie Pawłowska i Alain Levis.

Nowożeńcom życzymy wszelkiej pomyślności i dłu-gich lat szczęśliwego pożycia.

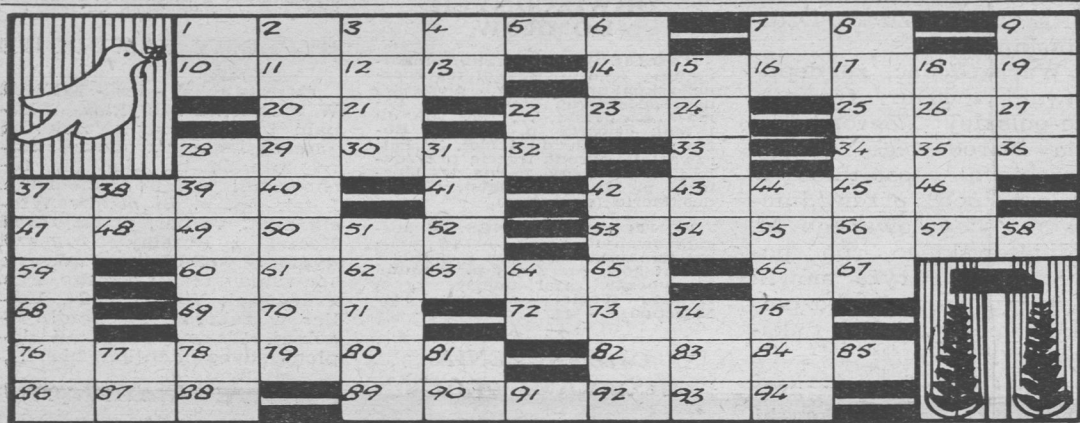
Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

NOYELLES-sous-LENS: Stanisława Wesolowska z domu Szymańska, lat 78, BETHUNE: Piotr Piwosz, lat 71 (Houdain), CARVIN: Emil Baczyk, BRUAY-en-ARTOIS: Rozalia Pruvost z domu Szymczak, lat 53; Jadwiga Kaczmarek z domu Sztureńska, lat 52, AVION: Kazimierz Czarniecki, Maria Świątkowiak z domu Sobota, lat 48, HOMBURG: Stanisław Maćkowiak, lat 67, OSTRICOURT: Waleryna Wichlacz z domu Kumradowska, lat 84, SIN-le-NOBLE: Teodor Leński, LENS: Antoni Kowalski, LIEVIN: Liliane Lefebvre z domu Spaleńka, lat 40.

Rodzicom Zmarłych składamy szczerze wyrazy współczucia.

Rozrywki umysłowe



SZYFROGRAM

Prosimy odgadnąć 20 wyrazów w kluczu pomocniczym o podanych niżej znaczeniach i ich litery podstawić na miejsce liczb zamieszczonych obok. Następnie do krótkich rysunków oznaczonych liczbami od 1 do 94 należy wpisać z klucza pomocniczego litery odpowiadające właściwym liczbom. Wpisane w ten sposób litery, czytane poziomymi wierszami dadzą hasło zadania.

KLUCZ POMOCNICZY:

- 13 — 33 — 12 — 40 — 9 — 24 = czwarta część całości,
11 — 6 — 26 — 71 = ul wydrążony w pniu drzewa leśnego,
1 — 2 — 3 — 8 = gra w piłkę na koniach, podobna do hokeja,
14 — 15 — 35 — 7 — 10 = opłata za przesyłki pocztowe,
62 — 31 — 5 = wirująca zabawka dziecięca, fryga,
25 — 39 — 30 — 19 — 18 = nałogowy alkoholik, opój,
47 — 56 — 48 — 4 — 21 = roślina dostarczająca kaszy jaglanej,
85 — 41 — 63 — 16 — 17 — 23 = tancerki baletu rewiewego,

- 45 — 27 — 43 — 44 — 50 — 59 — 51 = hetman zbójników na Podhalu,
28 — 68 — 20 — 80 — 67 = plamki lub kropki odmiennej barwy,
49 — 54 — 86 — 55 = sznurerek łatwopalny do zapalania min,
58 — 70 — 72 — 29 — 34 = figlarz, spryciarz, frant,
69 — 83 — 46 — 37 = zanieczyszczenie, pył, kurz, plama,
93 — 65 — 22 — 73 = zwierzęta o kolczastym futrze,
66 — 42 — 61 — 76 = amerykańskie zwierzę o cennym futrze,
74 — 36 — 60 — 90 = coś niezwykle pięknego,

79 — 38 — 77 — 82 — 52 = budynek gospodarczy lub heca,

89 — 92 — 75 — 81 = sztuczna postawa, nienaturalność,
53 — 87 — 88 — 32 — 64 — 84 = inaczej opieka, troskliwość,

91 — 94 — 78 — 57 = pocisk albo podpora dla kulawych.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają bezbłądne rozwiązania, zostaną rozlosowane

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Rozwiązanie logogryfu z nr 36

NIGDY WIĘCEJ WRZESNIA!
ZNACZENIE WYRAZÓW:
1) granica, 2) gonitwa, 3) geograf, 4) gondola, 5) grzywna, 6) Giewont, 7) geniusz, 8)

gołębie, 9) gruchot, 10) galeria, 11) grajcar, 12) głównia, 13) gwardia, 14) godzina, 15) grzebyk, 16) głosiak, 17) garniec, 18) gawiedz, 19) grzanka.

Rozwiązanie wirówki z nr 36

ZNACZENIE WYRAZÓW:
A) Żeromski, B) manifest, C) frasunek, D) ciemiega, E) le-

gumina, F) dzielnik, G) za wodnik, H) pokrzywa.



— Wy sobie siejacie, zbieracie, młóćcie, a my potem mamy orkę z księgowaniem tego wszystkiego!

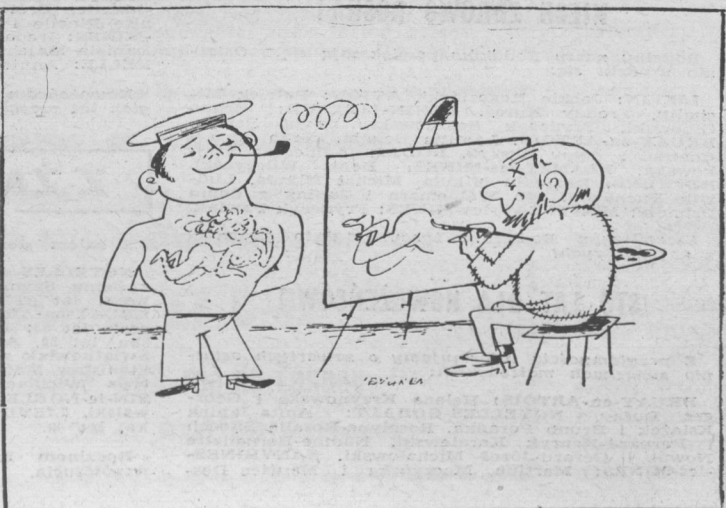
Rys. G. MIKLASZEWSKI

HUMOR POLSKI



Rys. K. MOZOLEWSKI

Rys. Z. LENGREN



TV DU 28 SEPTEMBRE AU 4 OCTOBRE

PREMIERE CHAINE.

TELE-MIDI — 13.00, TELE-SOIR — 20.00, TELE NUIT — à la fin du programme.
ACTUALITES REGIONALES — 19.15 (sauf le dimanche)
DERNIERE HEURE — 18.30 (sauf le dimanche)
JEU — 18.35 (sauf le dimanche)
MAGAZINE — 18.50, (sauf le dimanche)
POUR LES PETITS... — 19.10. (sauf le dimanche)
MIDI-MAGAZINE — l'actualité Télévisée — une émiss. de Georges Folgoas — 12.30 (sauf le dimanche)
CANDICE CE N'EST PAS SERIEUX — 13.20 (lundi, mardi et mercredi)
„LA CRAVACHE D'OR” — un nouveau feuilleton, scénario et dialogues de Paul Vialar, adaptation: Robert Guez, réal. André Michel. — 19.40 (sauf samedi et dimanche).

DIMANCHE 28 SEPTEMBRE.

9.10. Télé-Matin.
12.02. La séquence du spectateur.
13.45. Pour vous la France, une émission de Robert Sésé.
14.45. Télé-Dimanche — une émiss. de R. Marcillac.
17.30. „Pacte avec le diable” — un film de John Farrow (Ray Milland)
19.00. Les trois coups — magazine du théâtre.
19.30. Le Trésor des Hollandais, nr. 4.
20.50. „Austerlitz” — 2ème partie — un film d'Abel Gance (Rossano Brazzi, Claudia Cardinale, Martine Carol, Vittorio de Sica, Jean Marais, Jack Palance, Orson Welles, Ettore Manni, Anna-Maria Ferrero).
22.15. Occitanie, terre Cathare — „Les citadelles de l'Invisible” nr. 2.

LUNDI 29 SEPTEMBRE.

18.00. Magazine féminin.
20.30. „Daktari” nr. 6. — „Les otages”.
21.25. Voilà... une émission d'Edouard Sablier.
22.10. Variétés: Entrez dans la confidence — une émiss. de Jacqueline Joubert.

MARDI 30 SEPTEMBRE.

13.40. Je voudrais savoir — „Attention aux champignons”.
20.35. Les six jours — une émiss. d'Albert Husson, réal. Arlen Papazian.
21.50. Le fond et la forme, une émiss. de Pierre de Boisdeffre.

MERCREDI 1 OCTOBRE.

20.35. La Piste étoiles.
21.20. „A dossier ouvert” — magazine économique — une émiss. de Pierre Rouband.

JEUDI 2 OCTOBRE.

20.35. Panorama.
21.35. „Les Envahisseurs” nr. 5. „Cauchemar”.
22.25. Variétés: „Clin d'oeil”.

VENREDI 3 OCTOBRE.

20.35. Au théâtre ce soir: „MANX” d'Alfred Adam, mise en scène de Pierre Dux.

SAMEDI 4 OCTOBRE.

17.00. Samedi et C-ie — une émission de Mick Micheyl.
19.40. Accordéon-variétés.
20.35. Cavalier Seul.
21.20. Emission dramatique.

DEUXIEME CHAINE — COULEUR.

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, émissions sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.
COLORIX-EMISSIONS POUR LES JEUNES (C) — 18.55. (sauf le dimanche)
ACTUALITES REGIONALES ET COURT METRAGE (C) — 19.15. (sauf le dimanche).
TELE-SOIR-COULEURS (C) — 19.35.
TELE-SPORTS (C) — 19.55. (sauf le dimanche).

DIMANCHE 28 SEPTEMBRE.

14.55. (C) „Flamenco” — un film de Donald Siegel.
16.25. (C) L'Invité du dimanche.
18.25. (C) L'Amour de l'art.
20.00. (C) Le cheval de fer.
20.50. (C) Festival de Salzbourg, une émiss. de la TV Autrichienne.
22.20. (C) Chansons du bout du monde nr 11 et fin.

LUNDI 29 SEPTEMBRE.

20.00. (C) Monsieur Cinéma.
20.30. Festival du Western: „40 Tueurs” — un film de Samuel Fuller.
21.45. Cinéastes de notre temps: „Alain Robbe-Grillet”.
22.30. (C) Coda.

MARDI 30 SEPTEMBRE.

20.00. (C) d'Iberville nr. 15.
20.30. (C) „Civilisation” — „Les aborigènes d'Australie” — une émiss. d'André Voisin.
22.00. Cinéma d'auteur: „La Proie pour l'ombre” — un film d'Alexandre Astruc (Annie Girardot, Daniel Gelin, Christian Marquand, Michèle Girardon).
23.40. (C) Coda.

MERCREDI 1 OCTOBRE.

20.00. (C) Soif d'aventures — „Sur les pas des conquistadors”, réal. P. Bartoli et Yvon Collet.
20.30. (C) Les dossiers de l'écran: film „La Gloire et la peur” de Levis Milestone (Gregory Peck, Harry Guardino, Rip Torn, Bob Steele...)
(C) Débat.

JEUDI 2 OCTOBRE.

20.00. (C) Le mot le plus long.
20.30. (C) L'Homme et la Mer — „Le Commandant Cousteau”. nr. I.
21.40. (C) Théâtre d'aujourd'hui — le Festival d'Avignon.
22.50. (C) Coda.

VENREDI 3 OCTOBRE.

20.00. Voyages et aventures — une émiss. de François de la Grange.
20.35. (C) Variétés: „Napoléon” les airs du temps: (2e partie) — „L'époque nostalgique” — une émiss. de Maurice Dumay. (Martine Beaujoud, Nicole Croisille, Carlos Ferrari, Guy Marchand, Armand Mestral).
22.35. (C) On en parle.

SAMEDI 4 OCTOBRE.

20.00. (C) L'Amour de l'art.
20.30. Musicolor — une émiss. de F. Bonifay, réal. François Chatel.
22.00. (C) „Chapeau melon et bottes de cuir” nr 1 „Miroirs”.
22.50. A propos... une émiss. de Michel Droit.

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20 - 76 Paris

34/7 rue Chauteur-Lodelinsart
Mme Ol. Kuc
C.C.P. 66.69.45 Belgique
Cena prenumeraty:

kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.
półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.
rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.

Président Directeur
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE

Zakłady Graficzne „Tamka”,
Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 3.



Widok z Pałacu Kultury i Nauki na nową panoramę Warszawy od strony ulicy Marszałkowskiej

CORAZ PIĘKNIEJSZA

Warszawa w latach 1939—1945 straciła 850 tys. najlepszych synów i córek. Samo miasto legło w gruzach — czego nie zniszczyły bomby i pociski, hitlerowcy spalili.

Kiedy w grudniu 1944 r. prezydent miasta przedstawił Krajowej Radzie Narodowej program odbudowy Warszawy jako stolicy — wydawało się, że jest to zamiar ponad siły ludzkie. A jednak...

W okresie minionego 25-lecia powstało niemal całkowicie nowe miasto, które należy dziś do pierwszych w Europie pod względem rozwiązań urbanistycznych. Miasto nowoczesne, tętniące życiem, miasto — wielki ośrodek przemysłowy. Był to nie tylko ogromny wysiłek gospodarczy, lecz również wspaniały przykład, co może zdziałać wola ludzka i głęboki patriotyzm obywateli. Przy odbudowie stolicy nie zapomniano o jej historycznej przeszłości, pieczołowicie odbudowując zabytki i pomniki kultury.

Plac Zamkowy, zburzony i odbudowany po wojnie



Warszawę odbudowano już dawno, lecz jej rozbudowa trwa nadal. Przed kilku tygodniami został zatwierdzony przez władze państwowe program rozwoju stolicy, który przewiduje, iż w 1985 roku będzie ona liczyła 2 miliony 350 tysięcy mieszkańców. Budownictwo mieszkaniowe przybierze zaś takie tempo, że na jedną izbę przypadnie jedna osoba. Proporcjonalnie do budownictwa mieszkaniowego wzrastać będzie liczba uczelni, szkół, szpitali, placówek handlowo-usługowych itp.

Przyszła Warszawa będzie miała oprócz komunikacji autobusowej i tramwajowej — 3 pierścienie szybkiej kolei-metra: śródmiejski, międzydzielnicowy oraz obrzeżny, nastawiony na ruch szybki — ekspresowy.

Powstaną też w stolicy liczne ośrodki sportowo-rekreacyjne oraz wielkie centrum wypoczynkowe nad Wisłą, z lokalami rozrywkowymi, plażami i wesołym miasteczkiem.

Warszawę odbudowano już dawno, jest piękniejsza niż była, lecz jej rozbudowa trwa nadal



Sciana Wschodnia, bardzo popularna wśród warszawiaków. Na pierwszym planie rotunda PKO

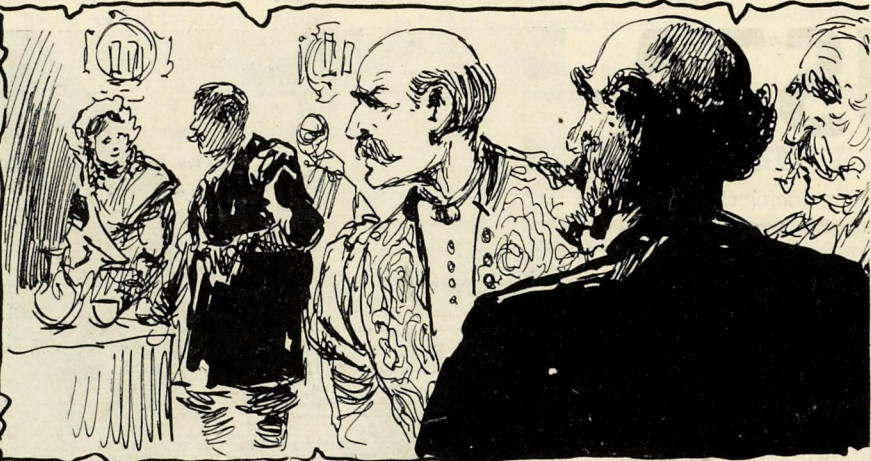


Małżeństwo Pana Paska

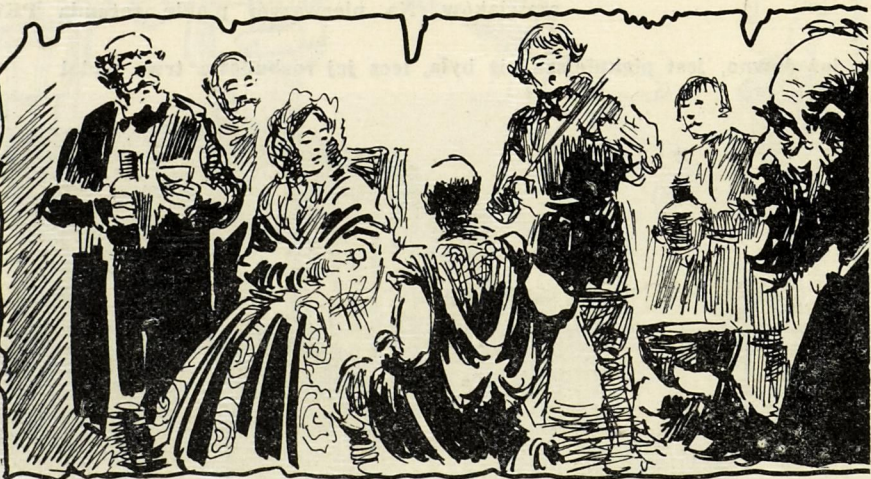
W KONKURACH DO WDOWY



Przyjechał Pan Pasek do Olszówki, wsi w powiecie pińczowskim, opodal Wodzisławia, w towarzystwie swego wuja Chociwskiego i jego syna. Przyjechał w konkury do wdowy siostry Jędrzeja Romiszewskiego, który mu o jej zaletach różne cuda naopowiadał. Olszówka nie była wprawdzie jej własnością, miała ją tylko w arendzie, ale na innej wsi, w Smogorzewie, również w Krakowskim, przysługiwało jej dożywocie. „Przyjechaliśmy — zwierza się Pan Pasek — do Olszówki bez muzyki, żeby się to nie znaczyło, że w zaloty”. Już po pierwszym rozeznaniu stwierdził, że mu się wdowa podoba: „białogłowa pocziwa, gospodyni dobra, w domu porządek i dostatek wszelki”. Była zgrabna, wyglądała na młodą, a ile miała naprawdę, dowiemy się, gdy przyjdzie pora

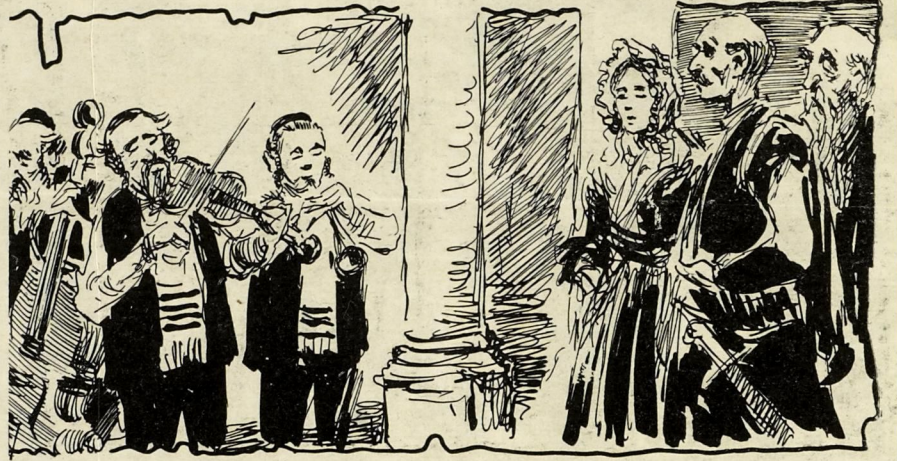


Pan Pasek tańczył wyłącznie z gospodynią, szepcząc jej ciepłe słowa do ucha, przy czym ona nie pozostawała mu dłużna. W przerwie, po którymś tam tańcu, wuj Chociwski zapytał kawalera: „Podoba ci się wdowa?” — „Bardzo mnie za serce chwyciła. Gdyby tak można mówić z nią dziś i dowiedzieć się, jakim mi jest przyjacielem?” — Na to wuj: „Mówić z nią dziś nie jest moda. Co zaś do przyjaźni, to już zrozumiałem, że jest ci przyjacielem; ja białogłową zaraz poznam, kogo sobie upodoba, choćby słowa do niego nie mówiła.” Wuj przeciwny był jednak pośpiechowi z oświadczynami. Widział on tylko jeden kłopot: że w Smogorzewie, gdzie wdowa miała dożywocie, rodzina umieściła dzieciennego stryja Łackiego. „Ale jakos sobie z nim poradzisz”



I tak od zdania do zdania, od słowa do słowa, od propozycji służby do ekonomiki, od gospodarstwa do afektów i miłosnych wyznań, aż dama wyrzekła: „Widząc Mości Pana afekt szczery, podobnym afektem mu oddaje”. Nie mógł się Pasek nacieszyć po takiej odpowiedzi, przynajmniej tylko, że „wypisywać, co się przy afektach mówiło, siła by”. Mając ze sobą wyrostka Dziegielewskiego, co grał z talentem na skrzypcach i śpiewał ładnie, kazał mu zaśpiewać: „Niech komu nadzieja ściele różnych fortun na myśl wiele. Ja już będę tryumfował, kiedy szczęśliwie stargował”. Po tej pieśni wszyscy się domyślili, co się dzieje. Narzeczeni wymienili pierścienie, a to zebranych utwierdziło, że się „wdowa zadeklarowała”. Ruszono więc z gratulacjami i pić na zdrowie

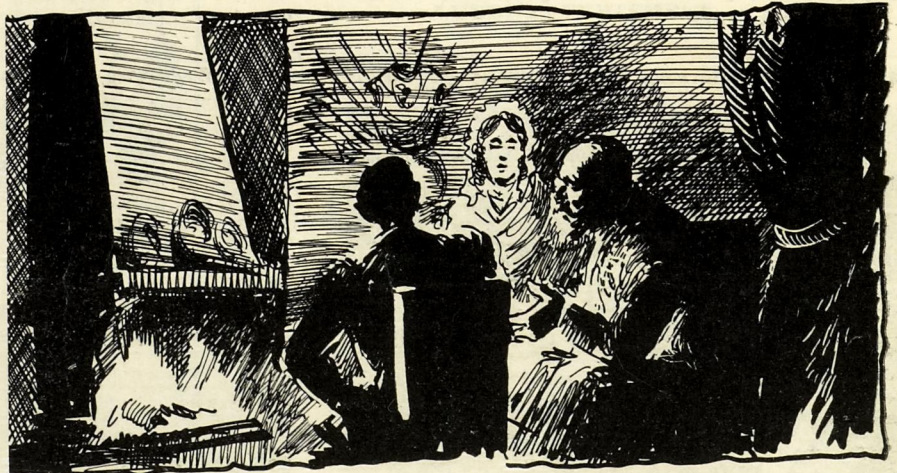
Powieść rysunkowa „Małżeństwo Pana Paska” jest jakby kontynuacją poprzedniej naszej powieści rysunkowej pod tytułem „Kawaleria na okręty”, chociaż tematycznie zasadniczo się od niej różni. Oparta jest jednak na tych samych autentycznych źródłach, szczególnie zaś na Pamiętnikach Imc Pana Jana Chryzostoma Paska z Gosławic, który żył w XVII wieku, należał za młodu do wybitnych rycerzy Stefana Czarnieckiego, i odbył z nim wyprawę do Danii przeciw Szwedom, na starość zaś zajął się gospodarstwem, polowaniami, sejmikowaniem, hulankami i uczestniczył w niejednej awanturze. Pamiętniki Paska uznane zostały przez historyków za jeden z najcenniejszych polskich dokumentów obyczajowych z XVII wieku.



Nie kryła, że ma potomstwo po pierwszym mężu nieboszczyku, przy czym najmłodsza córeczka Marysia miała około dwu lat, co przy młodym wyglądzie wdówki napawało Pana Paska nadzieją, że i jemu „Pan Bóg da z nią jakie chłopczyko”. Rozmowa toczyła się gładko; w odpowiedziach dama była rezolutna, błyskotliwa, a przy tym skromna, co jej bardzo dodawało uroku. Wkrótce też stary kawaler znalazł się pod jej wpływem i kiedy gospodyni nieznacznie zagadnęła, iż przy tak miłym towarzystwie przydałaby się muzyka, Pan Pasek z miejsca wysłał pachółka na koniu do Wodzisławia, by muzykanci natychmiast przybyli do Olszówki. Ci zaś, jakby tylko na to wezwanie czekali. Stawili się w dworku wdowy od razu i zaczęła się wesoła zabawa



Nie usłuchał Pasek doświadczonej rady stryja i po najbliższym tańcu zwrócił się do wdowy: „Moja Mości Pani, ustąpiłem tu za namową Pani brata, aby się Mości Pani pokłonić. Aleć tak mi się tu upodobało, że bym za samą strawę przyjął u Mości Pani służbę i później bym jej nie wymówił. Sam się z tym dobrowolnie odzywam i jeżeli nie masz kompletu sług sobie potrzebnych, a ja w liczbie życzyliwych zmieścić się mogę, racz nie gardzić moją ochotą”. Na to wdowa odpowiedziała, że bardzo by się jej przydał, ale nie jako podlejszy, lecz poważniejszy sługa. „Jednak ja z Mości Panem w ten kontrakt nie chcę się wdawać. Jako rycerski człowiek nauczyłeś się żyć żołem, jam zaś uboga szlachcianka i nie mogłabym się zdobyć na dobrą zapłatę”



Jeszcze tego samego wieczoru stanęła sprawa ślubu. „Moja Mości Pani — powiedział pan młody — ja mam rodziców, bez których błogosławieństwa odmieniać stanu nie mogę. Za dwie niedziele tę drogę objadę, wole rodziców uszanuję, krewnych cokolwiek z sobą sprowadzę, i powróciwszy będę Mością Panią o efekt danego mi słowa prosił!” Ale damie było do małżeństwa bardziej pilno niż kawalerowi. Do pomocy w przekonywaniu, by Pasek nigdzie nie jeździł, miała brata. „I tak mi obydwójce zaczęli głowę mozolić, namawiać, żeby sprawę nie odwłóczyć, obiecywali przy tym wszystkie zapisy zatłwić i dowodzili, że ważniejsze, kiedy moi rodzice obojgu nam pobłogosławią, zadeklarowałem: „Niechże tak będzie jako jest wola Boża i wola wasza”